



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Spiączka martwego sezonu dochodzi do punktu chrapania...

Warszawa nudzi się, ziewa, drzemie i przez sen majaczy o przyszłych wrażeniach, które jej jesień wraz z winogronami przyniesie.

Tymczasem niema co robić na miejskim bruku; nudy i pustki: to najważniejsze cechy obecnej chwili.

Turkot na ulicach jest jakby pulsem miejskiego ruchu; puls ten spadł dziś do *minimum* i świadczy o wielkiej anemii tego kamiennego organizmu, który się syrenim grodem nazywa. Od czasu do czasu tylko odezwie się miarowy tentent tramwajowego pegaza, albo nierówne szłapanie kopyt dorożkarskich wywłoków; zresztą cicho.

„Wszystko, co się szanuje” umknęło z murów miejskich. Echa kąpielowe gloszą z tryumfem o licznych zjazdach kuracjuszków, ale, niestety, przynoszą z sobą ten chroniczny i fatalny rozdźwięk niezadowolenia z powodu naszej „polskiej gospodarki.”

Zamiast korzystać ze sposobności dobrego za-reklamowania krajowych wód i stacyi klimatycznych, ci, do których to należy, niedosyć gorliwie własnego przestrzegają interesu.

Słyszeć się dają narzekania na złe lub wadliwe urządzenie najpotrzebniejszych środków utrzymania, wygody, lub kuracyi, co wcale tegorocznych przybyszów nie zachęcają do ponownych odwiedzin.

Weźmy dla przykładu wszelkiego poparcia godny Nałęczów, który, co prawda, od kilku lat dopiero powstał i stosunkowo, jak na nasze warunki, rozwinął się bardzo pomyślnie. Jako zakład kąpielowy i stacya klimatyczna ma on przed sobą przyszłość wiele obiecującą; zarząd stara się nadać mu pod względem leczniczym jak najlepszą opinią, cóż z tego, kiedy zdaniem korespondenta *Gazety Polskiej*, biedni kuracjusze, skazani na żywienie się w miejscowej trattynie, nie mają się jeść czego, bo pan restaurator swoich stołowników uważa za tak niewybrednych łakomców, iż lada jak i lada czem można ich nakarmić.

Wiadomo przecież, ile znaczenia ma dla chorych zwłaszcza, zdrowa, pożywna a przede wszystkim czysta kuchnia w zakładach kąpielowych. Nie wszyscy mogą z sobą wozić własną służbę i prowadzić domowe gospodarstwo; jedzie się przecież dla spokojnego wypoczynku, wytchnienia i kuracyi, chce się mieć za swoje pieniądze wygodę: a tu odrazu trzeba być narażonym na zawód, za który wprawdzie zarząd nie jest odpowiedzialnym bezpośrednio, ale od którego należało się wcześniej zabezpieczyć warunkami z restauratorem.

Już-to pod względem komfortu w tych skromnych wymaganiach mierzyć się nie możemy z zagranicą.

W innej znów korespondencji, z Buska do *Kuryera Porannego*, czytamy skargi na rozmaite inne niedogodności, które tam pobytu kuracjuszom ani wygodnym, ani przyjemnym nie czynią. Goście żalą się, że nie mogą mieć kąpeli mulewowych według przepisu lekarzy; wynikają ztąd sprzeczki, a administracya tłumaczy się, iż „nie ma mułu pod dostatkiem, choć za wannę każą sobie płacić po 1 rs. 15 kop. od osoby” Komunikacya z Kielcami zapowiadana jeszcze nie istnieje, poczta odchodzi najczęściej pantoflowa, biuro

telegraficzne urządzone według widzimisię pana ekspedytora; istnieje obawa, aby wody w źródle nie zabrakło przy większym natłoku gości.

Z Solca piszą, że oile kąpiele tamtejsze są skuteczne i pomocne, o tyle urządzenie ich zaniebane, usługa zła, wanny dziurawe, z których woda ucieka, a dolania świeżej doczekać się niekiedy nie można.

Jakżeż wymagać, aby w takich warunkach podnosiły się, rozwijały, i popularności nabierały nasze zakłady kąpielowe i zdrojowe! Skarżymy się potem na obojętność dla rzeczy swojskich, na brak poparcia; a zainteresowanie się powinno wyjść od najbliższych, którzy się dla własnej korzyści ulepszeniem złego zająć powinni.

Będziemy kiedyś sarkali i gorszyli się z oburzeniem, gdy Niemcy, albo Francuzi przyjdą nas porządku, czystości i rozumu uczyć na naszym własnym gruncie i dowiodą nam, że to nie tak trudne zadania przy dobrej woli i pewnem rozgarnięciu.

Niechajże nam przynajmniej na przyszłość doświadczenie da skuteczną przestrożę i naukę...

Z nowin sezonowych nie mamy wiele uwagi godnych; najbliższą obietnicą mającą się spełnić w Warszawie jest zapowiedź wielkiej wystawy ogrodniczej na Placu Ujazdowskim w obrębie minionej wystawy przemysłowo-rolniczej.

Programmat zakreślono szeroki, rozpisano przeszło sto konkursów z rozmaitych działów ogrodnictwa i sadownictwa, oznaczono około 300 nagród, starano się zainteresować specjalistów zarówno jak ogół publiczności, podziwiającej kwiaty zmysłem powonienia, a owoce zmysłem smaku.

Młode, ruchliwe, energiczne i pomysłowe Towarzystwo Ogrodnicze zajmuje się urządzeniem rzeczonyj wystawy, która ma być pierwszą u nas

w tych rozmiarach i w takim komplecie; otwarcie jej naznaczono na dzień 5-go Września, a zamknięcie na 13-go.

Kwiaty, owoce, nasiona, rośliny, plany ogrodów, etc. etc., zajmą siedm dużych działów; komitet wystawy radby jakieś trwalsze osiągnąć rezultaty i upamiętnić większym pożytkiem ów popis Flory i Pomony krajowej.

W tym celu projektuje narady w przedmiotach ważnych i praktycznych, jak np. obmyślenie zasad, na jakich mogłaby się zawiązać spółka do skupu owoców na prowincyi wyhodowanych i urządzenie sprzedaży ich w Warszawie, przegląd listy odmian owocowych, które można do hodowli w kraju zalecić, obmyślenie sposobów rozpowszechnienia sadownictwa pomiędzy właścicielami i wogóle właścicielami małych posiadłości, wreszcie obmyślenie sposobów zadrzewienia kraju drzewami dzikimi.

Wszystko to, jak widzimy, kwestye ważne dla gospodarstwa krajowego, które dzisiaj musi i powinno starać się o rozwój i owocowanie każdej najdrobniejszej nawet gałązki swojego pnia.

Wspominaliśmy niejednokrotnie o usiłowaniach i zasługach w tym kierunku naszego Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu, któremu przecież dobrych chęci i energicznej inicjatywy odmówić niepodobna.

Obecnie wypada nam nadmienić o wniosku p. Mieczysława Rudnickiego, inżyniera-mechanika, popartym odezwaniami znanego pedagoga p. Wojciecha Górskiego w sprawie zaopiekowania się istniejącą u nas przy ulicy Jasnej szkołą rzemiosłową.

Wnioskodawca w istnieniu i rozwoju podobnych szkół specjalnych upatruje ważny środek umoralnienia, wykształcenia, rozwoju naszego rzemieślnika i podniesienia przemysłu drobnego.

W szkołach tych młody chłopiec terminujący może otrzymać wykształcenie elementarne i naukę rysunku, niezbędnego dla każdej gałęzi przemysłu; bez terminowania zaś powinien w szkole tej ukończyć kurs w warsztatach, w którychby zdolni majstrowie praktycznie wykładali naukę rzemiosł.

Tworzenie nowych szkół tego rodzaju uważa pan R. prawie za niemożliwe, rozszerzenie zaś istniejącej, postawienie jej na pewnym gruncie, jest nietylko możliwem, ale i koniecznem.

W tym celu żąda wyznaczenia specjalnej delegacyi, któraby po gruntownem zbadaniu jej ustawy i działalności orzekła, co należy dla rozwoju jej przedsięwziąć, ażeby całkowicie odpowiadała potrzebom dzisiejszym i stanęła na wysokości zadania.

Przedewszystkiem trzeba kapitału i zapomogi stałej, któraby była tylko pożyczką bezterminową, bo prędzej czy później z lichwą nawet wrócić się muszą dzisiejsze nakłady przez ręce licznych wychowanców szkoły, co w szeregi rzemieślników i przemysłowców naszych wniosą inteligencyą, fachowem wykształceniem, wyrobionym smaki i umiejętnością pracy samodzielnej, wyzwolonej z pęt rutyny.

Skierowanie młodzieży do zawodów praktyczniejszych, do zajęć produkcyjnych, stało się niemal koniecznym wynikiem warunków naszego istnienia i rozwoju; trafiło i to, co prawda, na chwilę niezbyt zachęcającą, bo na ogólny zastój ekonomiczno-przemysłowy, ale chwila ta jest przejściową, wieki trwać nie może, kiedyś skończyć się musi, a wtedy ten, co lepiej pracować potrafi fachowo, łatwiej też wybije się na wierzch i zdobędzie kawałek chleba i stanowisko.

Wniosek p. Rudnickiego ma także swoje poważniejsze znaczenie i powinien znaleźć poparcie i uznanie, jak na to zasługuje.

Nie wątpimy nawet, że ze z pewnością znajdzie. Wśród nudy i martwoty bieżącego sezonu wyjątkową podwójnie sensacją wywołało pojawienie się jednodniówki na korzyść pogorzalców, inicjatywą i zachodem czcigodnego Adama Pługa doprowadzonej do skutku.

Około 140 autorów i autorek polskich, wszystkich prawie z Warszawy, pośpieszyło ze swą daniną pióra, a tym razem powiedzieć można, że owa literacka „darmocha“ wypadła owiele le-

piej od niejednej drogiem honorarium opłaconej pracy.

Spory zeszyt, formatu *Biesiady literackiej*, obejmujący trzy arkusze druku, ofarowanego przez najpierwsze nasze zakłady typograficzne bezpłatnie, przedstawia się z powierzchowności, a zwłaszcza z treści, nader pokaznie.

Poezya i proza nanizala tu mnóstwo perełek na ów filantropijno-obywatelski różaniec; nie mamy miejsca nawet na wyliczanie najcenniejszych darów w tej skarbonce talentów, dowcipu, nauki i myśli na korzyść nieszczęśliwych.

Powiemy tylko, że wydawnictwo „Dla pogorzalców“ bardzo korzystnie nawet swym zewnętrznym wyglądem, nawet ową czarną okładką, na której wśród dymu i płomieni zgłiszcza formułą malowniczy tytuł, odróżnia się od poprzednich wydawnictw w podobnym rodzaju.

Treść bardziej urozmaiconą, od lży do uśmiechu od aforyzmu do krótkiego traktatu naukowego, od wierszyka do nowelli—niema tej nużącej jednostajności, którą pocieszano powódzian, albo karmiono głodnych.

Wszyscy, jak jeden mąż, stawili się na wezwanie bez różnicy obozów, przekonań, haseł; wobec klęski i nieszczęścia wszystkie ręce związały się w jeden łańcuch, i to może najpiękniejszy charakter jednodniówki, najzaszczytniejszy objaw solidarności duchowej.

Nie potrzebujemy chyba nikogo zachęcać wobec celu i samej wartości wydawnictwa do rozchwywania pierwszego nakładu.

Na pół rubla zdobyć się może nawet niezamożny obywatel, stwierdzając tak tanim kosztem prawa do tego tytułu.

W ciągu przyszłego tygodnia pojawi się także jednodniówka humorystyczna, o której wspominaliśmy poprzednio, pod tytułem: „Śmiech dla łez“; powinna mieć ona również powodzenie, może nawet większe od poprzedniczki swojej, bo ludzie chętniej szukają wesołego śmiechu i humoru, niż poważnej myśli i głębszego uczucia.

I dlatego też więcej zwolenników ma humoreska od noweli, farsa od dramatu, walczyk od sonaty, karykatura od obrazu, operetka od opery.

Śmiać się, i zdrowiej, i przyjemniej, i łatwiej, i taniej.

Śmiechu tego szukają dziś ludzie, nawet w łazach.

Wobecnej chwili najwięcej dostarcza go teatr; małe i wielkie sceny bawią i pociągają publiczność mniej lub więcej wyborowym humorem.

Zwrócił ktoś słuszną uwagę, że nieproporcjonalnie do warunków powodzenia w letnim sezonie mnoży się u nas kult Melpomeny, której głodna działwa zbiega się ze wszech stron z nadzieją pożywienia się na bruku Warszawy.

Im mniej publiczności, tem więcej widowisk; rzecz naturalna, iż zawód i niedobór są skutkiem takiej nieopatrności.

W teatrach i teatrykach coraz większe pustki.

Pora letnia bywa u nas porą najcięższych prób i zadań dla reżysseryi i dyrekcyi, która sama sobie trudności przysparza udzielaniem zbyt licznych urlopów. Artysci nasi tłumnie emigrują z Warszawy, nie troszcząc się o to, czem ich ubytek zastąpić na scenie.

W tym czasie zjawia się na szczęście i na nieszczęście cała rzesza pełnych nadziei debutantów, którzy próbują swoich sił przed pustymi ławkami.

W roku bieżącym jakoś pomyślniej te próby wypadły; prawdziwych zdolności i talentów poznaliśmy kilka w komedyi zarówno, jak w dramacie. Panna Noiret, uczennica p. Rapackiego, p. Sobiesław z teatru Krakowskiego p. Popławski ze scen ogródkowych, p. Chmieliński niepospolicie uzdolniony uczeń p. Kotarbińskiego przedstawili się publiczności i krytyce ze strony nader korzystnej.

Scena, zwłaszcza z męzkich talentów, mogłaby mieć pożytek, o kobiece jakoś trudniej w dzisiejszych czasach.

Znalazłyby się może i one, gdyby lepsze i wła-

ściwsze warunki nauki, rozwoju, wykształcenia scenicznego zapewniła szkoła dramatyczna, o której potrzebie spisano już u nas dosyć piór i atramentu bezskutecznie.

A o takim rozsądniku sił i środków w nowicyacie Melpomeny koniecznie poważnie raz już pomyśleć należy.

Kartka z pamiętników poety.

II.

(Dalszy ciąg).

O, wy, co nie macie tajemnic w sercu swoim, czy wy jesteście szczęśliwi? O, wy, co idziecie w codzienność życia i bronicie się wyższym unięsieniom, jak czemu złemu, czy wy jesteście spokojni?

Egoizm stoi na drodze życia i szukającym szczęścia mówi: Jam jest!—Kłamiesz! *Apaga satanas!* Szczęście jest gdzieindziej.

Egoizm nie ma serca, ale ma rozum. To właśnie najgorsze, że go ma tak wiele. Ach, co mi tam! Ja mam serce, a zatem mam możebność szczęścia lub nieszczęścia. Wolę to dwoje pełne prawdy, niż kłamany spokój egoisty. Egoista jest zawsze zły, bo, wmawiając w siebie szczęście, czuje jednak, że broni złej sprawy. Egoizm jest śmiercią, życie jest cierpieniem; wolę ja cierpieć z tą wiedzą, że żyję, niżli kiedykolwiek wpaść w martwy egoistyczny spoczynek. I gdy tak myślę, czuję wdzięczność jakąś w sercu za istniejące w jego głębi cierpienie.

Wszak i na skrzydłach smutku wzlata się do nieba.

Maj.

Dochodzę do smutnego przekonania, że natura przestała na mnie wywierać takie wrażenie, jak dawniej. O, ja jej nie oskarżam, lecz patrzę na nią z żalem i rodzajem wyrzutu mówiąc: czemu mnie już nie kochasz? czemu do mnie nie przemawiasz, jak za dawnych poetycznych dni? I słyszę jej odpowiedź:—a czemu ty nie umiesz już mnie słuchać? czemu przestałeś mnie powierzać twą duszę i skarżysz się samotny i zniechęcony? Ja, co miałem dawniej wrażliwość rozwiniętą prawie do ostateczności, tak, że nie było jednego drgnięcia w naturze, jednego słowa słyszanego od ludzi, któreby nie trąciło o którą ze strun mojej duszy, rozbudzając w niej nowe myśli i uczucia—ja dziś sam siebie poznać nie mogę, tak mało co robi na mnie wrażenie. Chodzę zubożniały i chłodny wśród przyrody i ludzi, jakby przypadkowo zamknęła mi piersi owa niewidzialna zbroja Zygryda, dzieląca od wpływów zewnętrznego świata.

Straciłem siłę wrażeń i odczuwania. Jestem jakby wysunięty ze sfery ogólnego działania ducha na naturę i natury na ducha, i stoję w odosobnionym świecie czystego tylko rozumowania nad sobą. Zimno mi... Wiosno! ręka twoja dotykająca czoła mego jest za chłodna... albo może czoło moje zbyt rozpalone, że nie czuję twego ciepłego oddechu.

Ach, spokoju—spokoju, takiego, jaki mają fiołki w trawie, skowronek wśród obłoków,—kłosy rosnące na polach z wiedzą, że czynią dobrze.

Zanadto może duch mój cofnął się głęboko w siebie i tam szuka wrażeń, gdzie się tylko ich skutek już pojawiać może. Tak, tu jest moja wina; chcę znaleźć przyczynę tam, gdzie już tylko sfera wyników istnieje. Trzeba mi wyjść trochę na świat widzialny i poddać się jego władzy. Poezya jest rzeczą widzialną: więc jej z samych tylko rozmyślań wewnętrznych stworzyć nie można, trzeba zetknąć się z rzeczywistością, a ja się od niej zbyt oddaliłem: i to jest mój błąd.

Duch człowieka stworzony do życia poza obrebram doczesności, do istnienia czysto-idealnego—już tu na ziemi chętnie wstępuje w ten świat oderwany, uwolniony od wpływów i zawichrzeń

tymczasowych. Anioł rozmyślania bierze go między skrzydła ascetyczne, i trzymając uniesionego ponad ziemią, odzwyczajają go od jej wrażeń i wzruszeń—tak, że gdy potem, koleją życia, upominającego się o swe prawa, trzeba się znowu z nią zetknąć—duch pyta się zdumiony: więc ja jeszcze tu jestem? Spadanie to z nieba abstrakcyi na ziemię powtarza się często; ale właśnie ponowne przebywanie tej drogi z dołu do góry wyrabia w istocie człowieka moc podnoszenia się ku wyżynom, siłę lotności wewnętrzną, bez której ziemia pochłonięłaby najlepszą część ducha. W tym okręgu rozmyślania zaświatowego, przebywa czysty, niezamącony doczesnością—geniusz filozofii—rozpostartymi skrzydłami mierząc granice wszechistnienia, i jemu nie potrzeba na drodze właściwego mu rozwoju, ani idących wprost od przyrody wrażeń, ani ciągłego obcowania z ludźmi. On, zamknawszy w sobie ogólną świadomość wszystkiego, idzie spokojnie drogą logicznych rozwidnień do dalekiego a niewidzialnego celu i pilnować się bardzo musi, aby ten cel nie stał mu się właśnie widzialnym w sposób doczesny; byłby to bowiem dowód, że cień ziemi wsunął się w sferę zagadnień wszechświata. Geniusz ów patrzy na wiosnę, jako na racjonalne odnawianie się życia w naturze, przychodzące regularnie w naznaczonej porze, ale nie zwraca uwagi z wyżyny swojej: co tam pierwiej rozkwita na łąkach, pierwiosnek czy anemona. Jemu nie wchodzić w takie szczegóły, że róża ma kolor miłości, a cyprys nosi żalobę; on patrzy na kwiat jako na przyczynę przyszłego owocu.

Myślicielski ten duch śledzi raczej kolej, przebieg i dążenie rzeczy wszystkich razem, a poszczególne i odrębne stany serca, myśli, natury, wypadków, są dla niego tylko stopniami wniosków, godnymi zastanowienia o tyle, ile zawarły w sobie logiki. Logika jest bussolą filozofii. Jest to najczystszy pierwiastek sądu, wprowadzony w ruch myśleniem nad prawdą.

„Tak” i „nie”—to są dwa końce bieguny i każde zagadnienie, nim się stanowczo ku jednemu z nich nachyli, przelatuje bezustanku z końca na koniec, chwając się na probierczej wadze logiczności. Każda prawda, nim ją za taką ogłoszą, przejść przez ten trybunał musi; tylko, że, niestety, płynący po ten klejnot na fantastycznych okrętach żeglarze, często u steru nie mieli owej bussoli; wyciągali też, i to z wielkim, naturalnie, trudem, zamiast prawdziwej perły, jakieś dziwotwory, mogące tylko żyć w chaotycznym rozstroju myśli.

Prawdę przeczuć, uchwycić, rozjaśnić, wyłożyć, uwiecznić: to jest pracą przebywającego w sferze abstrakcyi—myśliciela. Żadnych w obliczu prawdy nie wolno mu mieć sympatyj i upodobań, bo tu właśnie zaczynał się zawsze błąd rozlicznych systematów. On musi stać w pośrodku niezmierzonego świata ducha, jak słońce, i ku żadnej z krążących planet filozoficznych nie wysłać silniejszego promienia atrakcyi. Byłaby to krzywda zbyt rozmyślna. Krzywdzicielem wszechświata może być tylko filozof, bo jemu danem jest wpatrywać się w ten ogrom prawdy oderwanej, wypisanej dla badacza głoskami myśli lub dotykającej materii: jeśli więc prawdę tę wydobywać zechce, nie drogą prostą, bezstronną, jedyną—lecz znajdzie sobie gościniec osobistego kierunku, wówczas nie trudno będzie nawet prostaczkowi odkryć plamy w jego filozoficznym słońcu.

Ponad nim sfera już zbadana z gwiazdami pewników, pod nim ciemność tajemnicy, przerywana polyskami tworzących się światów. Nachyleny ponad nią, nie będzie tracił czasu na chwytanie migotliwych meteorów hipotez, które są fałszywymi świecidełkami nauki i mogą rozum doprowadzić do znudzenia, ale porywać będzie w lot owe rodzaje się w nieskończoności iskry gwiazd stałych, i nie puszczając ich z dłoni, wyrobi z każdej nową, zasadniczą prawdę; zważoną na szali logiki—gdy wyjdzie z próby zwycięsko—podrzuci wtedy dopiero w błękitność filozoficznego sklepienia. Filozofia nie powinna, bo nie może być systematem; jest to tylko,—jedyne, absolutnie,—badanie prawdy. Dziś tak trudno jest rozwikłać jej dotychczasowy przebieg, od

chwili, gdy zaczęto nad nią myśleć, bo w zasadniczych pokładach jej warstw wszędzie prawie ukazuje się systemat. Zdawało się niejednemu z myślicieli, że ma rzeczywiście dobro nieskończonego ducha, i dążącej ku temu ludzkości, na cel; ale nie zastygła w nim ta egoistyczna pycha każdego myślącego *ja*, aby całe to ważne zadanie przeprowadzić poswojemu, na swój sposób, jakby na własną rękę pchnąć świat do celu! Szatan pychy, jeśli gdzie się napracował nad wyprowadzeniem ludzi w pole, to tam właśnie, gdzie filozof, rozpoczynając swój zawód, mówił sobie: *ja* zbadam prawdę, zamiast tylko z całą prostotą powiedzieć: badać będę prawdę. Ale pojętnie bywało zawsze, stojąc w przestrzeniach, mówić sobie: prawda i ja!—bo prawda, to zawsze królowa, i warto mieć po niej choćby drugie miejsce—tylko że niestety, ta druga figura narzucała najczęściej cechy swe osobiste prawdy, która tylko na własnych skrzydłach swobodnie ulatywać jest zdolna, a otulona płaszczem opiekującego się nią filozofa, wikła się i spada w najnudniejszą ciemność indywidualnych jego fikcyi. Przechodząc geologiczne pokłady systematów myślenia, można widzieć: ile wycierpieć musiała prawda, ta rzeczywista męczennica wieczności; sądzona, skazywana, zdradzana, kamienowana raz, to znów otaczana dymem symbolicznego kultu, tonąca w galerii jakiejś półsennej, a nigdy niemającej kapłana, któryby jej się oddał z zupełnym siebie zaparciem, dla niej tylko, dla niej samej! Topiono ją w odmetach chaosu, to rozciągano na torturze nicości; kazano jej być powietrzem, oceanem i ogniem, światłem i ciemnością, pewnikiem i wiecznem zagadnieniem, przyczyną i skutkiem, śmiercią i życiem, duchem i materią,—wszystkimi i nieczem! A ona biedna, skazana na te próby, cofała się zaciemniana przez ludzi, w coraz dalszą przestrzeń, aż bywały chwile, gdy jej już całkiem widać nie było. Duch człowieka, idąc pod stromą Gólgotę wszechwiedzy, zapomniał zupełnie, że tam, na szczycie, stoi krzyż zaparcia się siebie, u stóp którego dopiero prawda zaczyna być światłością ducha.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny.

(Dalszy ciąg).

List V. „Z nad tych strumieni, gdzie wieńca koralów
Nie chcą dziewice brać od jarzębiny,
Gdzie siadłszy słyszysz echa pełne żalów
Którymi wzdycha pierś smutnej krainy.”

jest jakgdyby dopełnieniem tego, co mieścił poprzedni o szkodliwości przykładów wystawnego, kosztownie prowadzonego życia. Jesteśmy tu nietylko biedacy, których uciska coraz-to nowy kłopot, jak koniec z końcem gospodarstwa naszego wiązać—pisze korespondent—ale czujemy, że ubożać będziemy coraz więcej, że będzie nam coraz trudniej wieść życie, którego widmem, odbierając nam już dziś sen spokojny, jest troska: z kąd wziąć grosz na podatek, na konieczny nakład gospodarczy, do czego niejedną, o niejedną dodać jeszcze musi:—Z kąd wziąć grosz na procent od niedającego spłacić się długu? Zapytujecie nas—jak na to radzić, jaki w tem udział może i powinna wziąć rodzina, z jej naczelniką panią domu? Pytanie to trafiło w jeden z najważniejszych, a może jedyny ze środków, które są w mocy naszej. Co i jak i w gospodarstwie folwarcznym zmienić? to musi być owocem długiego i nie zaraz dającego się stosować namysłu agronomów, ekonomistów; ale gospodarstwo domowe i układ wewnętrznego życia rodziny może każdy i zawsze według dobrej woli swej przetworzyć, byle tylko nastąpiła pod tym względem zgoda między członkami rodziny tę składającymi. Ojciec i matka, to jest mąż i żona, mają tu głos

stanowczy: od nich to więc zależy; ja też z mojej strony odpowiadam, że oszczędność w domu zaprowadzona i zmiana skali życia po wiejskich dworach naszych: to w tej chwili jedyny środek, aby ruina nie następowała po ruinie, abyśmy nie lecieli na ziemię, jak dojrzały owoc z drzewa.

O oszczędnościach myśli się oddawna—oddawna czujemy, że ciężary utrzymywania się według modły dawnej, zwłaszcza zmodyfikowanej do dzisiejszych wymagań i pojęć o dobrobycie, gniotą nas i prowadzą do zguby; czyni się też w tym kierunku usiłowania,—w wielu domach, gdzie kobieta jest lepiej pojmującą położenie i więcej sercem przywiązaną do męża, czyni się to nawet szczerze i bardzo starannie: ale cóż, kiedy tego nie starczy!—bo oszczędność te wszystkie ograniczają się do szczegółów, do szczegółów drobnych, a nam potrzeba przemiany gruntownej, zupełnej, całkowitej przemiany: przebudowania naszych ognisk rodzinnych na warunkach nowego zupełnie istnienia. Dawne życie ziemianina naszego byłoby najpiękniejszą na świecie sielanką, gdyby z jednej strony nie wtargnął tu importowany nam nowoczesny komfort, nowoczesna elegancja, gdyby z drugiej ekonomiczne warunki pracy nie uległy na całym świecie przemianie zupełnej. Dziś rolnik musi uważać się za przemysłowca i produkować według praw pracy przemysłowej. Musi on mieć taki a taki kapitał włożony w przedsięwzięcie swoje; pewien procent od dochodów, które kapitał ten przynosi, musi być uważanym jako fundusz obrotowy, nigdy od celu nie odwracany, a dopiero to, co po nad tę podstawową potrzebę zbywa, może iść na osobisty jego rodzinny użytek. Gdy tak nie jest, musi z konieczności nastąpić upadłość, przedsięwzięcie musi zostać zwinieniem, bo pożyczki, jeżeli nie przynoszą wyższego dochodu, niż procent od nich odpłacany, uczynią tylko ruinę cięższą, pochłoną zwolna resztki tego, co by bankrutowi pozostało: mogło.

Otóż ziemianin nasz nie nauczył się jeszcze tak zapatrywać na swój zawód gospodarczy, nie nauczyła się jeszcze tak zapatrywać jego rodzina, żona, dzieci. Dochodów nie rozdziela się bynajmniej na owe dwie oddzielne połowy, z których jedna powinna być w stosunku do wydatków rodziny, jakgdyby depozytem, rzeczą nienaruszalną. Nie można tknąć z tego ani grosza, nie można ani grosza odwrócić od celu, aby maszyna pracy nie stanęła nagle, lub nie przedłużała sztucznie ruchu swego przez zaciąganie długów. Oprócz tego, że długi te, przy procentach, jakie ziemianin zwykle opłaca, nie ratują, lecz tylko podtrzymują chwilowo, one-to sprowadzają na nas ostatni—ostatni już upadek: „czynią na honorze szczyby.” Bankrutów podstępnie niewypłacalnych jest u nas bardzo mało, ale ilu-to zniesławionych, z godności swej odartych, a nawet w moralnym swym charakterze zachwianych i poniżonych przez lekkomyślne, powoli, powoli w dół osuwające się brnięcie w długi! Traci się tu już ostatek, powtarzam: dobre imię wiarę u ludzi, tradycyjną dotąd uczciwość, honorowość naszą. Ale kwestya to inna.

Trzeba zatem dla względów najwyższego znaczenia przetworzyć z gruntu nasze rodzinne, nasze towarzyskie stosunki; ale jak to uczynić i od czego zacząć?

Najpierw powiedzieć sobie i innym przyznać głośno, jawnie, tak spokojnie, jak się konstatuje fakt spełniony, że nie jesteśmy bogaci! Oddawna już większość naszego ziemianstwa bogatą, to jest zasobnie dostatnią, zamożną, nie była. Jeden miał mniej, drugi więcej, ale, na ogół biorąc, stan majątków nie był pomyślny, brakowało kapitałów zapasowych, gotówki. Dziś położenie pogorszyło się jeszcze; wiedzą to między sobą sąsiedzi, wie to do siebie każdy nielekko myślny naczelnik rodziny: nie jesteśmy bogaci! Pozór dostatku zachowuje się jeszcze, do czasu, ale w rzeczywistości jest to błyszcząca nędza, wysyłamy się na pozory dawnego bytu, co nietylko popycha nas głębiej w przepaść ubożenia, ale nam samym ciężży na piersiach jak kamień młyński. Ileż-to razy mówimy sobie z westchnieniem:—Ah! gdyby to można obyć się bez tego! Gdyby można to ominąć! Czyni się to nawet nieraz: acieka się przed imieniami, aby nie wydać balu, wyjeżdża się do

miasta na śluby dla uniknięcia kosztów przyjęcia, robią się rozmaite oszczędności tego rodzaju, ale cichaczem, kryjąc się z nimi, jak ze zbrodnią, i dlaczego?

Dla zachowania pozorów rzeczy nieistniejącej, i dla tych-to pozorów wysilamy się na mnóstwo takich kosztowności w utrzymaniu naszym, na jakie już nas nie stać: na lokai, kucharzy, modne suknie i wogóle na strój, na szyk. Gdybyśmy przecie raz z tem zerwali, gdybyśmy raz uczynili wyznanie: — Nie jesteśmy bogaci! a jak w bajce czarodziejkiej wszystko się zmieni, nietylko wokoło nas, ale w nas samych. Wstyd fałszywy, raz zwyciężony, odstąpi i wyjdziemy z niewoli najboleśniejszego przymusu: ani my od siebie, ani nikt od nas nie będzie wymagać rzeczy, którym na ofiarę oddawaliśmy dotąd najświętsze obowiązki, nie otrzymując w zamian nic, prócz ciągle wzrastających trosk i niepokojów. Nie będą już najeżdżać nas goście, my również nie będziemy już zmuszeni oddawać wizyt w dni przeznaczone na pracę, nie będziemy się wysilać na przyjęcie, na stroje i tysiące umartwień, — tysiące upokorzeń naszej miłości własnej zniknie z naszego życia. Odetchniemy z głębi piersi, zrzućmy maskę, która nas dusiła, nie zakrywając rzeczywistej prawdy, o którą nam chodziło — żeśmy nie bogaci!

Zrobi nam się lżej pod względem wszelakim, a nie stracimy przytem nic; raczej zyskamy na szacunku ludzi rozumnych i poważnych. Tylko lekkomyślni, którzy dla zabawy, dla użycia kilku chwil miłych, zapominają o jutrze, tacy tylko opuszczają nas, ale to żadna strata. Ci, co zostaną, to ludzie serca i rozumu, przyjaciele życzliwi a przytem ten, kto bogatym nie jest, nie może, nie powinien mieć rozległych stosunków towarzyskich, bo i to zbytek, na który go nie stać. Anglik, znający się na tych rzeczach powiada: Czas to pieniądź...

Gdy blichtrz kosztowny usunie się z obyczajów naszych, rzeczywisty dobrobyt rodzin podniesie się niezawodnie; a cóż mówić o uspokojeniu wewnętrznym, które następuje zawsze po wyjściu z fałszywego, dwuznacznego położenia! Przybędzie nam dobrego humoru, gdy ubędzie przyczyn, które między mężem a żoną, między dziećmi a rodzicami, dawały powód do smutnych, bolesnych kwasów. Mówią, że głodne małżeństwo mucha pokłóci; jest w tem przysłowiu prawda ogromna w chwili braków obwinia się dwoje ludzi nawzajem — więc miłość znika, szczęście uchodzi, życie staje się szarem, bezbarwnem, bez żadnych horyzontów jaśniejszych.

— Jestem starym kawalerem — pisze autor listu — skończyłem krzyżyk czwarty; nieraz uczucie próżni, gorzkie, ciężkie uczucie samotności pierś mi przygniotło; a jednak były chwile, żem sobie tej samotności mojej winshawał, gdy widziałem pożyte małżeńskie, w których mąż przechodził koleje doświadczeń takich. Oskarżany i oskarżający, czuł się głęboko nieszcześliwym, bo z jednej strony widział przepaść przed istotami droższymi mu niż życie, z drugiej musiał patrzeć na tych istot lży i gniewy, czuć, że żona i dzieci uważają go za twardego, surowego człowieka. Przecież dla niefałszowania obrazu należy dodać, że dzieje się i naodwrot, że gdy żona przemysłowa, jak za synów szkoły zapłaciła, mąż kupuje czwórke paradyrów. Źna pojechałszy do sąsiada, przegra w karty pieniądze przeznaczone na ratę Towarzystwa Kredytowego. Ale zaciemniający się coraz widnokrąg i klęska, która, jak chmura gradowa, ciągnie wprost na nas, powinnyby przebudzić co w nas jest energii i woli silnej. Nie jesteśmy bogaci... wiemy to: nie chorujemy zatem na bogactwo przez wyobraźnię. Molière'a „Malade imaginaire“ jest łatwiejszym do zrozumienia i nieraz przychodzi na myśl pytanie:

— Czy to jest taka uparta buta szlachecka, która nam w piersi pokutując, do ostatka poddaje się nie chce i zejść niżej od wojewody?

— Czy to jest takie uwielbienie majątku, że rola człowieka bogatego, choćby grana do czasu, jest nam tak miłą — miłszą nawet nad obowiązek spełniony, nawet nad zapewnioną przyszłość własną i los najdroższych nam istot — dzieci na-

szych? Lecż w każdym razie: jak to pogodzić tradycyjnie przechwalającą się cnotą bezinteresowności naszej, z naszą legendową pogardą złotą, która innym narodom naprzykład Niemcom, wytyka ich wyrachowanie, ich jakoby niską miłość grosza? Czyżby to było zatem w braku postawienia sobie wyższych, wznioślejszych ideałów życia, takie niskie zejście, ambicyi naszych? w błyszczeniu choćby pozorami majątku dumę swą mieścić... w błyszczeniu przez majątkową wartość zaszczytu szukać!... Tak to, niestety! być jednak musi i potrzeba nam też na rozbudzenie szlachetniejszych uczuć, na wykrzesanie z serc szlachetniejszej dumy, przykładów dobrych. Niech je daje przez skromnego życia obraz każdy poważny, myślą dobra publicznego przejęty mąż, każda kobieta, która podniosłej czuje. Jest to do odegrania rola piękna, jest do zaskarżenia sobie zasługi obywatelskiej pole otwarte. Tym, którzy są zamożniejsi, należy się poczuć do obowiązku przodowania, bo oni są wybitniejsi, bo na nich zważa się więcej, bo ich przykład dlatego, że bogaci, że mogliby płocho używać, znaczyć może bardzo wiele. Ich prostota, ich oszczędność, pojęta jako cnota, jak obowiązek miłości kraju, musi zawstydić chudopachołków, pnących się do zbytku, do fanfaronady rozrzutnej. Oni mogą uczynić z tego *dobry ton* towarzyski, co dotąd za *zły ton* uchodziło. Zacząć choćby z tej strony, byle ratować, trzeźwić, usuwać demoralizujące działania spaczzonego, niskiego poglądu na życie. Dobro ma w sobie tę moc, że podnosi, że uszlachetnia przez proste nawyknienie do obyczajów, jakie wytwarza: stwórzmy też sobie nawyknienie skromnego pracowitego istnienia, uważajmy to za chlubę, za godność, czego się teraz wstydzimy, a reszta znajdzie się sama. Wymiecioną z serca adoracją majątku zajmie szlachetniej skierowana cześć innej wyższości, lecz początkiem tego pożądanego końca musi być konieczne sakramentalna dla słów i myśli formuła: — Nie jesteśmy bogaci!...

Trzeba nam tak to sobie powtarzać, jak Kameduli powtarzają za każdym spotkaniem się między sobą: — „Memento mori.“ Tam pamięć na śmierć ma przypominać krótkość, ulotność życia na ziemi; nam znajomość naszego położenia niech stoi na straży, aby płochość, lekkość charakteru, licha próżność nie pchała nas do upadku.

Autor listu czyni na zakończenie pewną spowiedź. Pozostał nieżonatym, samotnym, bo niebogaty, nie znalazł między pannami swej okolicy żadnej, któraby mogła być dobrą żoną niemającego człowieka. Jest posiadaczem małego folwarczku, na którym osiadł w 1866 r.; dworek ma drewniany, który sam sobie zbudował pod lasem, aby ten „ogród natury“ mógł mu zastępować inny, na jaki go nie stać. Ma tylko sad rozległy, który po potrąceniu wszelkich kosztów przynosi mu przecięciowo od włożonego weń kapitału, to jest od gruntu, który zajmuje, i nakładu przy założeniu, przeszło sześć od sta. Gdyby była w domu jego gospodyni, któraby przerabiała owoce na konserwy. Dochód mógłby się więcej niż podwoić; to samo byłoby z wielu pozycjami gospodarstwa. Według tego, co zbadać mógł na miejscu, gospodarstwo kobiety może mieć w ekonomii właścicieli ziemskich znaczenie wielkie, nietylko jako zaopatrzenie domu, ale jako produkcja przeznaczona na handel.

Ale trzeba je traktować we właściwy sposób, trzeba według warunków miejsca i możliwości nakładu obracać sobie jedną gałąź i tę już uprawiać na warunkach pracy przemysłowej, która może przynosić bardzo wysoki procent. Przypozwanie większych swoich sąsiadek do współdziału w uprawianiu płodów surowych, któreby dostarczały materiału do przerabiania, jest tu rzeczą ważną, a najzupełniej możliwą i łatwą.

Nic podobnego nie dzieje się w jego okolicy. Jak dla jego serca i domu, tak naokół dla pracownicy korzyści, która dodawałaby coś do dobrobytu rodziny, niema kobiety!

(Dokończenie nastąpi).

NIGDZIE MU DOBRZE NIE BYŁO.

OBRAZEK Z ŻYCIA

skreślił Quis.

(Dalszy ciąg).

Późną jesienią, w jakiś cieplejszy dzień, o południu, wybrałem się na przechadzkę do Saskiego Ogrodu. Wyznałem, że przestałem już tak gorąco zajmować się Jankiem i zleciłem wszystko przypadkowi, który między nami jakoś dotąd najlepiej spełniał rolę pośrednika, a ten przypadek, tak wypominany autorem, tak wytykany w powieści i dramacie — w życiu przecież sprawia nieustannie najsilniejsze efekta i ma niezmierne znaczenie swoje.

Ileż-to żywotów ludzkich z samych złych, lub dobrych przypadków się złożyło!...

Wybrałem umyślnie ustronną aleję, aby z własnymi myślami tylko pogwarzyć, kiedy nagle na jednej z ławek spostrzegłem mężczyznę w bobrowym futrze, z długą brodą, siedzącego z zamkniętymi oczyma i grzejącego się w promieniach jesiennej słońca.

— Ależ to Janek! — zawołałem, podchodząc do niego szybkimi krokami — Janku, to ty?...

Zbudzony z dumań, czy z drzemki chwilowej, otworzył oczy, spojrzał na mnie spokojnie i cichym, bezdźwięcznym głosem, nie ruszając się z miejsca, odrzekł:

— Ja.

Struchlałem na widok tej twarzy wyzółklej, wychudłej, jakby pergaminem powleczonej, nie skóra ludzką.

Było coś trupiego w tych rysach o zaostzonych konturach; na policzkach doły, oczy zgubione w jamach, skronie jakieś zakłęsłe, usta sina-we, niedomknięte, z poza których bielily się zęby.

Przy dużej, falistej brodzie, jeszcze bardziej odbijała bledłość i chudość twarzy nieszczęsnego suchotnika. Nie miałem od pierwszego wejrzenia wątpliwości więcej, że choroba ta rozwinęła się już całkowicie w nadwątlonym organizmie Janka.

Spojrzał na mnie obojętnie, spokojnie, bez zdziwienia, jakgdybyśmy wczoraj dopiero się rozstali po zwyczajnej gawędzie wieczornej; coś tylko jak lekki uśmiech przemknął mu koło ust, odwilżanych razporaz spiekłym językiem.

— Jak się masz? — spytał po chwili, podając mi rękę i zatrzymując w niej moją. Oczy jego ożywiły się i badawczo patrzyły we mnie, jakby chciały dojrzeć wrażenie, które widok jego na mnie sprawił. W spojrzeniu tem czytałem ciekawość i niepokój, zwyczajny u suchotników, którzy wpatrują się w innych, jak w zwierciadło, by z niego dowiedzieć się o zmianach swojego własnego stanu.

— Cóż, pięknie wyglądam? — zagadnął, nie spuszczać oka ze mnie. — Można mnie poznać jeszcze?...

Nie śmiałem mu wyznać prawdy.

— Zmienileś się trochę od ostatniego naszego widzenia się.

— Trup?... co?...

— No, nie przesadzaj znów, tak źle przecież nie jest. Jakże się czujesz?

— Jak mnie wiesz: gasnę z dniem każdym. Chwała Bogu zbliżamy się do końca.

Znów się uśmiechnął boleśnie.

— Tak znówu wielkiej zmiany w tobie nie widzę — zacząłem z udaną swobodą.

Zmarszczył brwi, pokiwał głową z niezadowoleniem i rzekł:

— Daj spokój, nie kłam, nie staraj się napróżno pocieszać mnie: przecież nie dziecko!... Skóra i kości ze mnie zostały.

— Gdzież ty mieszkasz, co robisz?

— Nic nie robię, próżnuję, a mieszkam w szpitalu.

— W szpitalu? — zawołałem z jakimś przykrem nad wyraz uczuciem.

— A w szpitalu; gdzie się miałem podziąć... Mam kogo, coby mnie pilnował?... tam przynajmniej płacę i mam wszelkie wygody, dozór, opiekę. Ja wiele potrzebuję... W szpitalu mi najlepiej. Dobrzy ludziska, pielęgnują mnie, jak malca chorego. Mam wszystko, czego dusza zapraagnie, tylko coraz mniej mi się chce czego. Jesć nie mogę, bo żołądek nie znosi wiele jadła; pić znów za dużo nie pozwalają — mówię ci, szpital to jednak najpiękniejsza instytucja, jaką ludzkość wymyśliła... Cóż tam z moim Pawłem slychać?

— A cóż, jest u mnie, i przykrzy mu się bez ciebie.

— To mi go przyslij, tylko mu powiedz, aby tabaki nie zażywał więcej, bo mnie teraz wszystkie zapachy drażnią, a węch mi się wydelikacił, jak u legawca.

O Żaliwskich i Konopnicy ani słowa nie wspomniał. Wyrobił się w nim, jak zwykle u chorych, ten jakiś egoizm, niedopuszczający żadnego interesu dla reszty świata, i ta apatya, która znieczula na wszystko.

W szpitalu zajmował osobny pokój, za który płacił tygodniowo i cały dzień w nim przepędzał; czasem tylko dla odetchnięcia świeżem powietrzem pozwalano mu wyjeżdżać na przechadzkę, gdy dzień był pogodniejszy.

— To już koniec—powtarzał wbrew zwyczajowi suchotników, krzepiących się zwykle nadzieją do ostatniej chwili—ale to jeszcze długo się pociągnie—dodawał i wtedy spoglądał na mnie wzrokiem takim, jakby się obawiał zaprzeczenia z mej strony. Pod tą pozorną rezygnacją ukrywało się jednak przywiązanie do życia i cicha nadzieja przedłużenia go, choćby w tychsamych warunkach.

— Czy ty wiesz o tem, że są choroby ciała, które bywają lekarstwem duszy?—pytał mnie raz, gdy go jakiegoś dnia odwiedziłem w szpitalu, ale urwał natychmiast, jakby nie chciał dalej tematu tego rozwijać i chudą kościstą ręką zasłonił sobie oczy.

— Może to i lepiej!—mówił dalej—żem, uciekając z tej Konopnicy na złamanie karku, dostał zapalenia opłucnej, które mi doprawiło do reszty tę pocziwą chorobę. Nie potrzebowałem myśleć o niczem, tylko o bańkach, o oleju krotonowym, o proszkach i miksach... Ach, mój drogi, myśli bywają czasem skirem duszy: tak ją zjedzą, zgryzą, stoczą, na próchno. żyć z taką duszą, to gorsze od śmierci; jednak się żyje... Molière miał słuszną, wdychając: „Jakże to trudno umrzeć!“

— Powiedz mi—odważyłem się go zagadnąć—z kąd ty, który zaczynałeś życie tak swobodnie, wesoło, z takim apetytem młodzieńczym do życia, nabrałeś tyle tej jakiejś goryczy i takiego pesymizmu? W tobie, mój Janku, tkwi dla mnie jakaś psychologiczna zagadka, której rozwiązać nie umiem. Nie śmiałem ci o to pytać otwarcie, bo widocznie uniikałeś zawsze tego tematu, ale przecież jako serdeczny przyjaciel miałbym prawo do twego zaufania...

Podał mi rękę i przerwał:

— Mój kochany, wierzaj mi, że jeżeli ci nie mówiłem, to dlatego, że ani tobie, ani światu nie mam nic do powiedzenia. Pamiętasz z Mickiewicza: „Są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu...“ ja taką jedną prawdę w życiu kupiłem sobie, ale życiem za nią sam zapłacić musiałem. Dajmy pokój temu... to mnie męczy. Doktor nie pozwala mi mówić wiele.

I znowu musiałem przerwać rozmowę z nim w tej materii; nieraz mi się zdawało, że w tę sknem spojrzeniu Janka dostrzegałem jakby jakąś chęć zwierzania mi się z tej najszybszej tajemnicy jego duszy, ale siłą woli widocznie tłumiał ją w sobie.

— Nie mam nic do powiedzenia ani tobie, ani światu—powtarzał—byłem tylko żdźbłem trawy ludzkiej, które śmierć skosi łąda dzień—i co tu gadać o sobie!...

Dzień każdy przynosił już stałe pogorszenie w chorobie Janka. Lekarz ordynujący coraz bardziej czoło marszczył, coraz mniej mówił po każdym nowem badaniu pacjenta, coraz bardziej pozwalał na wszystkie jego zachcianki i dziwactwa.

Dnie jeszcze jako tako przechodziły, ale wie-

czory zimowe, długie, ale nieprzespane noce męczyły biednego suchotnika okropnie.

Pocziwy Paweł czuwał przy nim bezustannie, całe tygodnie spędzał, nie kładąc się na spoczynek; pod piecem położył sobie materac i na nim siadał w kuczki, z głową podpartą na ręku, drzemając chwilami tylko, ale najczęściej wpatrywał się godzinami w bladą twarz swego pana i starał się odgadnąć jego myśli i życzenia.

Janek w fotelu dużym, staroświeckim, obłożony poduszkami, okryty koldrą, w jednej najczęściej pozycji spędzał już całe dnie i noce.

Był to jakiś stan apatycznego wyczekiwania, pół-snu, pół-jawu; od czasu do czasu spoglądał na zegar i chmurzył twarz, jakby mu te godziny za wolno przepływały.

Światła dziennego nie znosił, więc okno do połowy zakryto zieloną firanką; w nocy tylko mała lampka wisząca przed ukrzyżowanym Chrystusem nad głową Janka, rzucała słabe, migotliwe światło na ścianę i na twarz chorego, która pośepnie, jak z wosku rzeźbiona, z jakimś wyrazem widma wyczierała z poduszek.

— Proszę pana — mówił mi nieraz półgłosem Paweł, gdy mnie na kurrytarz szpitalny wprowadzał — jak ten nasz pan strasznie teraz wygląda!... Człowiek przecież nie dziecko, przyzwyczajony już do tego widoku, a w nocy to się żegną ze strachu, niby przed duchem. Dzisiaj ja, stary, głupi omal nie krzyknąłem z przerażenia. Kiwnęła mi się trochę głowa nad ranem i usnąłem; ale gdzie mi tam usnąć na długo! Ciągle mi się zdaje, że pan stęka, albo woła, albo pyta raz po raz: która godzina?... więc się i zbudziłem nagle a od razu patrzę na pana swoim zwyczajem. Jezus Maryja!... chciałem wrzasnąć na całe gardło. Istny trup z otwartymi oczyma... w ciemności to te oczy takie ogromne mi się wydawały, błyszczące, straszne, wyteżone przed siebie, jakby się im co przewidywało. Teraz to już i majaczące chwilami zaczyna w jasny dzień. Och, Boże słodki, ulituj ty się!...

Nie było już żadnej nadziei ocalenia chorego.

Czekaliśmy każdej godziny na chwilę jego śmierci.

Janek przytomności nie tracił, częściej tylko niecierpliwiał się z łąda jakiej przyczyny: a to, że doktor rzadko go odwiedzał, że mu wino odmieniło, które kroplami połykał, że się nim przestają opiekować troskliwie...

— Tak mi się tu z początku dobrze wydawało. —mówił z jakimś dziecięcym smutkiem—a teraz widzę, że i tu źle.

Wszystko mu szpital przypominało, apteką czuć było i kwasem karbolowym.

Śnieg na dachach i mróz na szybach dreszczem go przejmował.

— Żeby też trochę świeżego powietrza — zarazem się uczuł zdrowszym i rzeświejszym —mówił.—Ale kiedy ta wiosna jeszcze!... którego mamy dzisiaj?...

Potem pocichu z wysiłkiem obliczał coś na palcach, ołówkiem kreślił cyfry i niewyraźne słowa, które przemazywał z wyrazem niechęci.

Wieczorami kazał sobie opowiadać bajki, jak dziecko, albo czytać żywoty męczenników świętych i zdawał się słuchać tego z największym zajęciem; ale od czasu do czasu przerywał Pawłowi i, wskazując palcem nad głową, mówił spokojnym, naturalnym głosem:

— O, jaskółka!...

Gorączka trawiła go, jak żar i wypalała resztkę sił żywotnych.

Ta jaskółka fikcyjna przylatywała coraz częściej nad jego głowę; wpatrywał się w nią bystro, potem odwracał oczy i mówił do Pawła:

— I cóż dalej? czytaj!

A Paweł, lży połykając, przez okulary w mośiadz oprawne, które niby to kraciastą chustką przecierał, by wilgotne oczy ukradkiem osuszyć, drżącym głosem czytał przy świecy, zakrywanej grubą, spracowaną ręką, by blaskiem nie raziła chorego i pocichutku przewracał połówki, załuszczone karty Żywotów Świętych.

W połowie Stycznia jakoś miało się wreszcie wszystko to zakończyć.

Pewnego dnia, idąc na górę do Janka, spotka-

łem na schodach doktora, który wracał właśnie od niego.

— I cóż, konsyliarzu? — spytałem — jakże się ma dzisiaj nasz chory?

— Bardzo źle — odrzekł zniżonym głosem — możeby wypadało uwiadomić rodzinę? Chwile są policzone.

— Czy on się domyśla czego?

— Wiesz pan przecie, że o śmierci swojej nie wątpi, tylko nie przypuszcza, że ona tak blisko. Dzisiaj nawet wydał mi się spokojniejszym, niż zwykle. Pod wieczór zapewne mu się pogorszy, duszność powróci, a wtedy...

— Wtedy?... wtedy posłać po pana konsyliarza, czy tak?

— Nie, najpierw po księdza — rzekł, odwracając głowę i żegnając, mnie uściskiem ręki, zbiegł szybko nadół.

Wieczorem mu się rzeczywiście pogorszyło.

Obaj z Pawłem, jak dwa cienie, pocichu na palcach krążyliśmy około fotelu Janka, porozumiewając się spojrzeniem.

— Oj, panie, panie — biadał stary sługa — on chyba tej nocy już nie przeżyje. Słyszysz pan, jak mu w piersiach gra?... zupełnie jak organy.

— Co wy tam szeptacie po kątach? — pytał chory, otwierając naraz szeroko zmrużone oczy — okropne nudy!... doktora niema?... był dzisiaj?... nie mogę sobie przypomnieć.

Opuszczała go już chwilami pamięć.

— Jakoś mi lepiej — mówił do mnie, gdy mu podawałem szklankę z wodą do picia — tylko się boję tego duszenia... to straszne!... zatyka naraz w piersiach, w gardle, w nosie. Zupełnie, jakby cię na szubienicy wieszali. Paweł... czytać.

Wskazał ręką na księgę leżącą na stoliku, poprawił głowę w poduszkach, powieki zaczęły mu opadać i podnosić się z wysiłkiem, na skroniach znać było bijące pulsa. Ręce złożył, jak do modlitwy, i słuchał.

Paweł usiadł na stołeczku u nóg chorego, z książką na kolanach, i zaczął czytać żywot św. Sebastjana męczennika, szczególnego patrona od morowego powietrza. Głos mu się łamał ze wzruszenia, drżał, gubił biedaczysko wyrazy lub powtarzał je kilkakrotnie; stare oczy, z książki przebiegając na twarz chorego pana, nie mogły tak łatwo trafić na dawne miejsce.

Janek milczał ciągle; zdawało się, że usypia.

Paweł nie przerywał czytania i właśnie z przejęciem wierzącego prostaczka wygłaszał gorącą przemowę świętego do Marka i Marcellina, zachwianych chwilowo w wierności Chrystusowi.

— „Zastanówcie się nad tem, co robicie! odstępujcie wiary, zdradzacie Boga, szatanowi cześć oddajecie!“

„A gdy skończył przemawiać, światłość nadzwyczajna napełniła mieszkanie. Pan Jezus, ukazujący się wśród siedmiu aniołów, przystąpił do niego i jakby na znak potwierdzenia jego słów, dał mu pocałunek pokoju, mówiąc: „Ty zawsze będziesz ze mną!“

W tem miejscu Janek otworzył oczy, i głosem dziwnie czystym i pewnym, ale jakimś głębokim żalem, bólem, goryczą i wyrzutem nabrzmiałym powtórzył słowa:

— Ty zawsze będziesz ze mną!

Zdawało się, jakby one budziły w nim całą duszę i szarpnęły nagle nicią zrywającego się życia.

Paweł czytał dalej:

— Czemu ty stary płaczesz? — spytał go Janek łagodnie.

Starowina chrząkać zaczął i, jak dziecko przydybane na złym uczynku wypierał się:

— Ja?... cóż znowu?... coś mi tam wgardle stało tylko... czegożbym miał płakać? — jeszcze czego! — a lży mu po zmiętej twarzy ciurkiem płynęły i kapwały dużemi kroplami na książkę; scierał je szybko dłonią z bibulastych kart i już panując całą siłą nad wzruszeniem, czytał do końca historyj świętego męczennika, którego żołdaci Dyoklecjana, obnażonego i przywiązanego do słupa, strzałami z łuków ranił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Lipcu 1885 r.

Martwa pora. — Wystawa Węgierska. — Baumbacha. Woda młodości. — Arcyksiążę Rudolf jako literat.

(Dokończenie).

Potem w jesieni zdarzyło się, że gdy Jan ze swoimi w domu spożywał gęs świętomarcińską, pani Greta przy jedzeniu złamała sobie ząb. Było wielkie narzekanie, bo niemało była dumna ze swych białych zębów; gdy oboje małżonkowie pozostali sami, rzekła kobieta niepewnym głosem:

— Nie byłoby się to nieszczęście przydarzyło, gdyby woda...

Ale Jan jej przerwał:

— Woda znowuż na wszystko pomódz nie może. Hez-to razy się zdarza, że chłopiec przy gryzieniu orzecha ząb sobie wylupi! Co też możesz zarzucić tej doskonałej wodzie? Czyliż nie jesteś świeżą i zdrową, jak młoda główka sałaty? Albo może rzuciłaś wzrokiem na kogo innego, że już w moc wody nie ufasz?

Kobieta się rozśmiała, obtarła łyzy z policzków i pocałowała starego tak mocno, że mu aż oddech zaparło. Popołudniu zaś siedzieli przed domem na kamiennej ławie i śpiewali sobie na dwa głosy pieśni o miłości wiernej, aż przechodnie prawiłi: — „Tracą rozum starowiny.“ Ale oni, szczególnie, nie słyszeli tego.

Tak upłynęło wiele lat. Dla dzieci stał się dom za ciasnym: poszły w świat, pożeniły się i także miały dzieci. Oboje staruszkowie byli znowu sami, a tak zawsze kochający się, jakby w dniu kiedy się pobierali. Każdej niedzieli, gdy dzwoniło na nabożeństwo, brali z owej flaszki po jednej kropki.

I nadszedł znowu dzień przesilenia letniego. W wigilię siedzieli Jan i Greta przed domem i spoglądali po górach, gdzie płonęły ognie sobótkowe. Zdąla dolatywały radosne wołania i krzyki wesołe młodego chłopstwa, które się zabawiało ochoczko. Chłopcy i dziewczęta podsyłali ognie i parami przez płomienie skakali. I rzekła kobieta:

— Janie drogi, radabym znowu raz pójść do lasu. Jeśli masz ochotę, to pójdziemy jutro rano. Lecz musisz mnie obudzić, bo kiedy jałowiec kwitnie, to młodziuchny rade śpią, aż do wielkiego dnia.

Jan się zgodził. Rano obudził żonę i poszli razem do lasu. Jakby kochankowie, prowadzili się pod ręce, a jedno patrzyło pilnie na kroki drugiego. Jeżeli Jan ostrożnie przez wystający korzeń drzewny przestępował mówiła kobieta: — Ej, Janie, podskakujesz, jak koźle; a jeżeli Greta trwożliwie przez rowek przesadzała, śmiał się Jan i wołał: — „Podkasaj się, Greto! Hop!“ A potem upatrzyli sobie starą sosnę i spożywali w jej cieniu, co Greta z domu zabrała.

— Tu właśnie w tym miejscu — mówił Jan — leśnica się nam pokazała, a tam, he, powinnaby być polanka ze źródłem młodości. Ale polanki i źródła już nigdy nie znalazłem.

— To też, Bogu dzięki, inie było potrzebne — przerwała, żywo Greta — Nasze, flaszki przecie jeszcze na długo wystarczy.

— Tak, już ci starczy — potwierdził Jan — Ale przecie by mnie ucieszyło, gdybyśmy dobrą leśniczkę jeszcze raz zobaczyć i za nasze szczęście podziękować jej mogli. Chodź, pójdźmy i szukajmy. Może będę dzisiaj szczęśliwszym, niż kiedy indziej.

Powstali i poszli w głęboki bór: i oto w niedługą chwilę przed ich oczami błyszczała w słońcu polanka. Lilie i dzwonki kwitły wśród murawy, pstre motyle upędzały się tu i owdzie, a na skraju lasu stał także i domek, jak niegdyś, przed laty. Z bijącym sercem obeszli chatę: i oto źródło młodości był na swoim miejscu, a złocisto-zielone panny ponad nim się unosiły.

Jan i Greta postąpili na krawędź źródła. Trzy-

mali się pod ręce i pochyliłi nad wodę, a z jasnego jej zwierciadła spojrzali ku nim dwie siwe głowy, dwa łagodne, pomarszczone oblicza.

Wtedy gorące łyzy rzuciły się z oczów obojgu staruszkom; łkając, wyznali sobie nawzajem swoją winę. Długo to trwało, aż zrozumieli, że jedno drugie podeszło i przez całe lata miłośnie ludziło.

— Więceś ty wiedziała — zawołał Jan wesoło — żeśmy się oboje postarzeli!

— A tak ci, tak — śmiała się kobieta wśród łez.

— A ja także — nawoływał Jan — Hurra! — i próbował podskoczyć.

Potem zaś objął swoją kobietę za głowę i całował ją, jak wtedy, gdy mu przysięgała miłość.

Nagle, jakby zpod ziemi wyrosła, stanęła przed nimi leśnica.

— Witajcie — rzekła — Długoście się u mnie nie pokazywali. Ale, ale — mówiła, grożąc palcem — Złeszcie gospodarzyl z wodą młodości: i zmarszczki i siwe włosy! Ej, ej. No, no — prawiła, pocieszając — łatwo temu poradzić i przyszlście w dobrą godzinę. Żywo, skoczcie do studzienki, nie głęboka, zanurcie tylko siwe głowy, wtedy cuda zobaczycie. Kąpiel powróci wam siłę młodości i piękność. Ale śpieszcie się, zanim się słońce do zachodu pochyli.

Jan i Greta spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem — Chcesz? — zapytał Jan niepewnym głosem. Przenigdy — odrzekła szybko Greta. — O gdybyś wiedział, jaka rada jestem, że nareszcie mogę być starą! A potem, to nie uchodzi już, ze względu na nasze dzieci i wnuki. Nie, leśniczko droga, tysiączne dzięki za wasze dobro, ale już zostaniemy, jak jesteśmy. Prawda, Janie?

— Tak potwierdził Jan — zostaniemy starymi. Hopsal! Gdybyś ty wiedziała, Greto, jak ci też pięknie z twoją siwą głową!

— Jak chcecie — rzekła leśnica, nieco marmotna. — Niema tu musu. — To powiedziawszy, weszła do domku i zamknęła drzwi za sobą.

Oboje zaś staruszkowie znowu się ucałowali. Potem szli ramię pod ramię lasem do domu, a letnie słońce zlewało złotym blaskiem siwe ich głowy.

Zdawało mi się, że ta powiastka więcej warta, niż sprawozdanie o tych wszystkich sposobach odżywiania się i odmładzania, które ludzie teraz w lecie praktykują na wsi, czy bodaj w mieście, a przyczem także woda główną rolę.

Zgodzi się z tą powiastką o wodzie młodości obrazek o zajęciach literackich młodego arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu. Jest on głównym redaktorem dzieła: „Austria w opisach i w obrazach“, które wydaje z pomocą całej gromady literatów i artystów z każdego kraju koronnego. Otóż w tych dniach odbyło się posiedzenie głównego komitetu, pod przewodnictwem arcyksięcia, który napisał ogólny wstęp i drugi dla części traktującej o Węgrzech. Powiadają, że upał wcale naczelnego redaktora nie przygnębia, ani też nie służy za okoliczność łagodzącą w jego oczach dla obu redaktorów: Jokay i Weilena. Obok nich obecni byli na posiedzeniu Szoegeyeny, Arneeth, Miklosich, Beck, Keleta. Po wstępnych słowach zapytał arcyksiążę: „Macie, panowie, jaki wniosek do postawienia?“ Oczywiście, mieli wnioski i życzenia, ale jakoś nie szło im gładko z postawieniem ich.

Domyslił się jednak przewodniczący o co idzie. Przedstawiono ilustracje do *Niższej Austrii*, między innymi epizod z rewolucji wiedeńskiej r. 1848: studenci na barykadzie.

— Co? — zawołał Jokay; a łagodne niebieskie oczy jego lśniły ogniem — a to i my możemy podobne obrazki zamieścić?

— Oczywiście — przerwał mu arcyksiążę — przecież honwedzi muszą być przedstawieni, musi być i portret Kossuta!

Poeccie jakby kamień z piersi spadł; oczy z wdzięcznością zwrócił się na głównego redaktora.

— Co — rzekł arcyksiążę — czyś pan sądził, że ja będę się sprzeciwiał?

— Wyznajemy otwarcie, żeśmy się wahali, bo

wasza cesarska wysokość wykreśliła z programma tu rozdział o strategii Rakoczy'ego.

Główny redaktor rozśmiał się głośno.

— Prawda, wykreśliłem, ale tylko z tego powodu, że one czasy nie należą do teraźniejszej epoki: wszak i my i wy macie przedstawić ojczyznę, nie taką, jaka była przed wiekami, lecz jaką jest od lat 30 do 40. Z tego poznać ma publiczność czytająca, jak będzie kiedyś po wiekach wyglądać, jeżeli ludy nasze naprzód dążą.

Były potem różne referata, gdy zaś wspomniano Kikindę, rzekł główny redaktor:

— A *propos*, kochany panie Jokay, już dawno miałem panu powiedzieć i zawsze zapominam. Jeżeli w okolicach o mieszanej narodowości, są znakomitsi krajowi i miejscowi pisarze, należałoby ich zawiadzać do opisu ich strony rodzinnej. Nie chciałbym, żeby ich pominięto, o co mieliby żal do Węgrów. Macie panowie jeszcze co?

Już nic na dzisiaj.

— Szkoda — odrzekł niezmordowany redaktor i rozpoczął prywatną pogawędkę.

ZIMA W FU-CZEU.

SZKIC GEOGRAFICZNY.

przez panią L. P.

przekład z Francuzkiego.

(Dalszy ciąg).

Liu wskazał mi swoje posiadłości i świątynię, gdzie w towarzystwie przyjaciół oddawał cześć Buddzie. A próbkę tego nabożeństwa dano mi na poczekaniu. Liu zastąpił wielkiego kapłana, a przyjaciele jego śpiewali i grali na różnych gongach na cześć bóstwa.

Słońce zaczęło się spuszczać na horyzoncie, a ponieważ z zachodem słońca zamykają bramy Fu-Czeu, obawiałam się więc, abym nie została zamkniętą na przedmieściu, które trzeba było przebyć w lektyce, gdyż niepodobna było iść pieszo, z powodu złej drogi. Tragarze nieśli mnie pośpiesznym krokiem.

Świeczki sandałowe, które każdy Chińczyk pali wieczorem, jako ofiarę dziękczynną, roznosiły ostry zapach. Nieżyczliwi ludzie rzucali kamieniami i kawałkami drzewa w moją lektykę, co przyspieszało jeszcze kroki moich tragarzy, którzy już nie szli, lecz raczej biegli. Około wielkich kamiennych wrót, tak szerokich, jak głębokich, na których wznosi się wieża, spotkałam Tao-Tai, generał-gubernatora, który wracał do miasta. Ludzie jego wrzeszczeli rozpychając tłum. Wszczęła się nowa awantura, z której moi ludzie wyszli cało i zdrowo; ja również, bo schowałam się za zasłonę lektyki. Księżyc się pokazał i odzwierciadlał w bystrych nurtach Minu. Przebywałam właśnie most mający dzieśnię tysięcy wieków. Jest to ulubione wyrażenie chińskie, lecz niewiadomo, czy ma ono oznacza stulecie, czy tysiącolecie? Ja głosuję za drugim. Dlaczegożby nie? Tylko w takim razie, pomimo, że jest dosyć zniszczony, trzeba podziwiać jego dobry jeszcze stan. Kilka arkad rozsypało się już w rzekę, gdzie widać ogromne głazy wstrzymujące bieg wody. Arkady zawalone zastąpiono drewnianymi. Most dochodzi 400 metrów długości, a niektóre z jego głazów granitowych mają po 12 metrów.

Po kilku dniach, nie chcąc nadużywać gościnności konsula, najęłam sobie mieszkanie. Urządziłam się wygodnie i żyłam na sposób chińskich kolonistów. Mój chłopak, pełniący obowiązki pokojówki, zajmował też stanowisko intendenta i dyrygował służbą, składającą się z drugiego chłopca, kucharza, kuchcika, trzech tragarzy, stróża nocnego, który podczas nocy wygrywał wcale niezłe różne melodie pałeczkami na drewnianej deseczce. Odzwierny zamykał liczny poczet moich sług, który mnie mniej kosztował, aniżeli jeden służący w Europie.

Wydawałam 88 dolarów miesięcznie, a dom mój należał do dostatnich w Fu-Czeu.

Codzienną strawą moją stanowiły: bażanty, kuropatwy, doskonałe jarzyny, ryby i ostrygi do woli.

Ostatnie są tam nadzwyczaj smaczne, a kupuje się je przytwierdzone do żerdzi bambusowej.

Chińczycy w pewnych porach roku zanurzają te żerdzie w ławice ostryg i wydobywają je potem obładowane ostrygami, które do żerdzi przylgnęły.

W kilka dni po urządzeniu się pojechałam do Jan-Fu, do przyjaciela mego Anglika. Wyruszyliśmy około północy wraz z odpływem morza, a wczesnym rankiem byliśmy już na pełnej rzece. Krajobrazy, które się nam przedstawiały, nie były nawet podobne do tych, jakie widzimy w Europie. Rzeka wiję się pomiędzy górami uprawionymi od góry do dołu, które piętrzą się jedne ponad drugimi. Te, które tylko w oddali w mgle niebieskawej widać, przyjmują odcień fioletowo-różowy i kończą się ostremi wierzchołkami przedstawiającymi dziwne kształty.

Usadowiłam się pod cieniem żagla. Zdaliśmy się na łaskę wiatru. Rzeka się rozszerza i spoglądamy wyspę, a na niej dachy domów.

U stóp skały, ustawione są armaty, które musiały być użyte w kilka miesięcy później, przy bombardowaniu Fu-Czeu.

Dalej rzeka się zwęża, ława piaskowa pozostawia tylko ciasny przesmyk, a wiatr niesie nas prosto na mieliznę. Majtkowie chińscy w krzyk, zamiast zwijać czempredziej żagle. Dopiero, będąc na piasku, uspokoił się, zwinęli żagle, powchodzili do wody, a przy pomocy ludzi z sąsiedniej wioski wydostali statek na głębszą wodę. Pod wieczór wiatr ustał i trzeba było wiosłować. Około nas przepływały łodzie, które kierowały kobiety, krótko poubierane, zgrabne, silne i lekkie.

Noc zapada, a my zatrzymujemy się w środku rzeki obok małego naturalnego portu, gdzie ujrzałam rybaków łowiących ryby, za pośrednictwem kormoranów. Ptaki te siedzą spokojnie na łodzi, dopóki nie usłyszą sygnału rybaka. Usłyszawszy sygnał, rzucają się w wodę i rozpoczynają swą pracę. Gdy uchwycą dużą rybę, lub też napelniają swą gardziel małemi, wracają na łódkę i pozwalają zabrać rybakowi zdobycz. Często, gdy spotykają rybę, zbyt dużą, aby sobie mógł dać radę jeden kormoran, pomagają mu inne. Jest to więc rybołówstwo łatwe i zajmujące, lecz wytresowanie kormoranów jest połączone z ogromnym trudem. Ponieważ tresowanie to stanowi najbardziej zajmującą część tego rybołówstwa, stanowi właściwie mowę, tajemnicę fachu, więc podam kilka wiadomości o tym przedmiocie.

Chińczycy nazywają kormorana Ju-jug, co znaczy: „sokół rybny“ i utrzymują, że prowincja Cze-kjan produkuje kormorany najodpowiedniejsze do nauki. Zbierają starannie pierwsze jaja, które zwykle znosi samica w Lutym, i dają je wysiadywać kurom, gdyż jak mówią, kormoran ma bardzo mało rozwiniętą miłość macierzyńską. Pisklęta wykluwają się po miesiącu i tak są słabe, że nie mogą się utrzymać na nogach, a niewielki chłód je zabija. Wskutek tego, zaraz po urodzeniu, trzymane są w koszykach wysłanych watą i umieszczonych w dość wysokiej temperaturze, za pomocą sztucznego ogrzewania. Żywią je galkami, zrobionymi ze strąków i mięsa węgorza, cienko posiekanego. Po miesiącu młode kormorany pokrywają się pierzem. W końcu drugiego miesiąca już płacą za parę około 25-ciu franków. Gdy dojrzeją, co następuje w pięć miesięcy po urodzeniu, rozpoczyna się nauka. Przywiązują im do nogi sznurek, którego drugi koniec, przymocowany jest do kołka, wbitego na brzegu rzeki lub stawu. Nauczyciel wpędza je kijem do wody, gwizdając ciągle pewną melodię, która się staje dla młodych kormoranów sygnałem do skoczenia w wodę. Rzuca im wtedy małe rybki, na które napadają z tem większą żarłocznością, że przez cały czas nauki otrzymują skąpe pożywienie. Następnie nauczyciel zaczyna gwizdać inną melodię, która jest dla kormoranów sygnałem odwrotu. Dla nauczania

ich tego, rybak podczas gwizdania ciągnie je za sznurek przywiązany do nogi i zmusza do powrotu na ląd. Po dwóch lub trzech miesiącach podobnych lekcji, powtarzanych codziennie kilkakrotnie, można zacząć ćwiczenia na statku, a dopiero po upływie miesiąca puszcza się ptaki bez sznurka.

Podobnie jak się dzieje i pomiędzy ludźmi, są kormorany więcej i mniej pojętne. Niektóre już przed dwoma miesiącami są zdadne do łowu, inne zaś wcale się nauczyć nie mogą i kończą swe życie w garnku rybaka. Osobniki, które już ukończyły edukację, warte są wogóle po 30 do 35 franków za sztukę. Rybak nie cieszy się długo tak wyaczonym kormoranem, gdyż ten żyje niecałe 6 lat. Niewiadomo, czy się do tego przyczynia życie w niewoli, czy też jest to skutek nieubłaganego prawa natury, że wszystko, co jest pożyteczne, trwa zbyt krótko.

Nareszcie wysiedliśmy na ląd i wsiadłam znowu do lektyki. Zauważyłam, że ogrody są hodowane z nadzwyczajną starannością. Zdawałoby się, że każdy listek jest okurzany piórkiem i pozbawiany wszelkiego śladu pyłu. Plantacje kukurydzy, tytoniu i zbóż wszelkiego rodzaju ciągną się jedne za drugimi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ŻYCIA WIKTORA HUGO.

(Dalszy ciąg).

Dziecko, już dumne we wszystkich uczuciach swoich, odczuło instynktownie upokorzenie Francji na widok żołnierzy obcych, obózujących na placach Paryża i choć matka Wandejka, tłumaczyła synowi, że to są sprzymierzeńcy i przyjaciele, którzy dali poparcie prawu i sprawiedliwości, chłopiec groźnie zmarszczył brwi, przechodząc koło posterunku konnicy, stojącej kwaterą w domu, zamieszkiwanym przez rodzinę Hugo. Drażniło go i to, że Francja z cesarstwa spadła na królestwo, lecz uczucia te przygasły, gdy powrót Napoleona z wyspy Elby sprawił, że władza ojca zapanowała w stosunku do synów nad władzą gorąco kochanej matki. Oddany wraz z bratem Eugeniuszem na pensję, nienawidzoną jak więzienie, musiał się jednak poddać losowi i słuchał wykładu nauk w Kollegium Ludwika Wielkiego, okazując szczególne zdolności do matematyki, choć duszą całą rwał się już do poezji. Prócz dramatów, których nie przestał tworzyć i przedstawiać na pensji, w nocy tłumaczył z pamięci ody łacińskie, których uczył się w szkole, a wyobraźnia już pracowała, już wzbijała się gdzieś wysoko, pociągana przez wielkie tajemnice stworzenia. Żona znalazła potem w jednym z zeszytów jego poezji, pisanych w r. 1815, wyrysowane na okładce jajko, a na niem fantastycznego ptaka z podpisem: „Les bêtises que je faisais avant ma naissance“.

Są to wyrazy dziecka, ale dziecka, które czuło się już istotą nieśmiertelną i uskrzydloną, pochodzącą z górnych krain nieskończoności.

Uczucie artystycznego piękna, smak szlachetny już się też w nim budził; doznawał potrzeby tworzenia, więc pisał, ale umiał już sądzić się w tych utworach swoich i pod jedną ze sztuk powstałych w tymże czasie napisał z wyniosłą stanowczością: „Un honnête homme peut lire tout ce qui n'est pas biffé, et toute la pièce est biffée“.

W piętnastym roku stanął do konkursu poezji, wyznaczonego corocznie przez Akademię Francuską. Było to w r. 1817; reakcja przygniatała Francję, umysły szlachetniejsze uciekały też przed smutną rzeczywistością w świat abstrakcji i temat zadany był: „Szczęście, które nauka zapewnia w każdym położeniu życia“. Chłopiec miał już przecucie takiego oderwanego stanu ducha, takiego istnienia dla ideału, i napisał w tajemnicy nawet przed bratem, już świetnie

brzmiący, choć naiwny, wiersz o szczęściu błakania się z Wirgiliuszem w ręku po cienistych, zielonych lasach, i byłby otrzymał nagrodę, gdyby nie był przyznał się do swoich lat piętnastu, które poakademicku nazwał „trzema lustrami“. Sąd konkursowy widział w tem żart kogoś nieprzyjawnego Akademii i poeta „de trois lustres“, został pozbawiony nagrody, o którą ubiegał się z trzema współzawodnikami, w których liczbie był Kazimierz Delavigne.

Musiano mu jednak przyznać wzmiankę zaszczytną; przecież na publicznem odczytaniu utworów premiovych głos ogółu przywrócił mu tę nagrodę nieotrzymaną, o czem Wiktor grający w piłkę z synem generała Lecourbe dowiedział się od brata przytomnego temu sądowi. Akademia napisała w sprawozdaniu, że „jeżeli młody poeta ma rzeczywiście tylko tyle lat wieku“, to należy mu się powinszowanie... co obraziło niesłuchanie matkę. Przypuścić, że jej syn może kłamać! — obrażona kobieta pobiegła natychmiast na pensję i zabrawszy ze sobą chłopca a w dodatku jego metrykę, dotarła na sesję Akademii, gniewna jak lwica. — Nie wychowywałam dzieci moich do kłamstwa! — wołała z oburzeniem i syn pamiętał tę scenę do śmierci, tak jak do śmierci czcił pamięć tej matki szlachetnej, jak do ostatniej chwili jej istnienia ulegał wpływowi, które wywierała na młodzieńca z budzącą się już w piersiach gienialnością i gienialności tej duszą wielką. Zmienił on potem przekonanie, które wpajała weń niegdyś, ale nie zmienił nigdy charakteru, który wyrobiło w nim macierzyńskie wychowanie — uczuć, które przeniknęły jego serce. Historyk życia Wiktora Hugo, Alfred Barbou przypisuje temu wychowaniu dwa rysy, charakterystyczne w poecie i człowieku: wielką i szczerą cześć kobiety i religijność, wiarę w Boga, zdolność do modlitwy, pomimo że owe formy religijne, wśród których chował się młodzieniec, pozostały daleko poza człowiekiem już dojrzałym.

W szesnastym roku Wiktor Hugo stworzył i napisał Bug-Jargala, rzecz przepiękną, którą chociaż poprawił, wygładził w r. 1825, więc mając lat 23, jednak szesnastoletni to chłopiec stworzył w wyobraźni swojej ten ideał patryotyzmu, poświęcenia, miłości czystej i wiernej, silniejszej niżli śmierć, który przedstawił w bohaterze tej powieści — w biednym, prostym, heroicznym murzynie.

„Wzniosłe dziecko“ otrzymało wkrótce, bo w rok potem, jeszcze jedną konkursową nagrodę poezji, przyznaną mu przez akademię tolozańską za wiersz bardzo rozpowszechniony, więc znany ogólnie i u nas: „Moise sur le Nil“. Napisał go w ciągu jednej nocy przy łóżku chorej matki. Generałowa Hugo zapadała często na piersi, zapalenie płuc powtarzało się u niej kilka razy i ta choroba, kazała jej się położyć do łóżka r. 1819, a synowie, teraz już młodzieńcy, przybywali kolejno z pensji do domu, aby czuwać nad nią. A był to właśnie czas przesyłania prac konkursowych do Tuluzy; nazajutrz przypadł ostatni dzień terminu i matka zapytała Wiktora wśród nocy: czy twój już gotowy? Ale nie, gotowym właśnie nie był — nie był nawet zaczęty, i dobra ta matka poczęła lajać syna, że się zaniedbał. Jej choroba przeszkodziła mu pewno, więc narzekala na to smutnie, i gdy zasnęła, syn, który postanowił przesiedzieć noc u jej łóżka, siadł cicho przy lampie, palącej się w kąciku i nim dzień zaświtał, wiersz został napisany, wyprawiony nazajutrz pocztą, nagrodzony wreszcie według zwyczaju tamtego konkursu „Jeux Floraux“ złotą lirą. Wiktor Hugo nie zapomnił nigdy i tego, że matka, odebrawszy wiadomość o tem, rozplakała się. Syn też słusznie pisał o niej wśród wspomnień swych pierwszy: „Austère et tendre, dévouée et sévère“.

W r. 1820, obaj bracia, Eugeniusz i Wiktor, skończyli kollegium; ojciec chciał, aby wstąpili do szkoły politechnicznej; synowie przecież mieli pragnienia inne, bo na nieszczęście rozdzielał ich świat cały uczucie i myśl, jak musi być zawsze w rodzinie, której. Ojciec i matka nie są zjednoczeni ze sobą przez wspólne im miłości i nadzieje życia. Dzieci wybierać wtedy muszą między rodzicami, i tracą albo ojca, albo matkę...

Tu ojciec przestał moralnie istnieć dla młodych swych synów. Małoletni mogli zostać zmuszonymi do posłuszeństwa, ale generał Hugo nie pomyślał się do tej surowości. Eugeniusz i Wiktor napisali do ojca list, prosząc, aby im zostawił wolność w wyborze drogi życia i ojciec przystał na to — nie bez żalu. Nie był pewnym, czy potrafią pokierować się szczęśliwie, czy literatura zapewni im przyszłość spokojną? — i naodwrot napisał do synów list, w którym tłumaczył im powody, dla czego pragnie dla nich wejścia do szkoły politechnicznej. Nie myślał dla nich o służbie wojskowej, nie byłby jej chciał nawet dla synów swoich w armii Burbonów, bo mógłby być, wraz z synem starszym, znaleźcie się kiedy naprzeciw nich. Ale wierzył, że szkoła, która mimo zmiany rządu, była przenikniona uczuciem miłości dla straconego cesarza, oddziała na zmianę ich pojęć, i chciał, aby się tam znaleźli, prosił o to. Odmówili, i wtedy ojciec cofnął synom pensję, która dotąd stanowiła ich utrzymanie.

On sam był biednym rozbitkiem losu: dymisjonowany i na pół pensji wojownik upadłej sprawy. Żonie, mimo rozdziału nie byłby nie naskąpił, ale konieczność zmuszała do tego, i gdy synowie po wyjściu z collegium wrócili do matki, nie był to już dom dawny pełny dostatku i zamożności. Mieszkanie było mniejsze, mieściło się na drugim piętrze, służba została ograniczona do dwóch osób, ale matka żyła nadzieją przyszłości synów, która zapowiadała się świetnie dla najmłodszego. Zapisał się on w uniwersytecie na wydział prawny, i słuchał wykładów z wielkim zajęciem umysłu, przyznając potem, że nauka prawa przyniosła mu korzyść wielką: dała ściślejsze pojęcie sprawiedliwości, ustaliła w wielu rzeczach sąd jego o naturze ludzkiej, dała poznać różnicę między *przewinieniem a winą*. To usprawiedliwianie przestępców, które poeta tak szeroko rozwinął w pismach swoich, może tu początek swój bierze, bo myśl skierowała się wcześniej na przedmiot ważny: wymiaru sprawiedliwości.

Ale obok nauki, która dla takiego umysłu nie mogła być suchą w gałęzi żadnej, poeta nie przestawał tworzyć i rwać się z myślą młodą w krainę poezji. Lata 1819 i 1820 należą do najpracowitszych w życiu Wiktora Hugo. Obok studiów prawnych pisał, pisał dla sławy, która już była potężnym bodźcem dla tej wyniosłej i namiętnej duszy, i chciał zarabiać piórem na życie. Bracia Hugo założyli dziennik „*Conservateur littéraire*”. Współpracownictwo było, jak na tamte czasy, liczne i takie, że mieściło na liście swojej Alfreda de Vigny. Eugeniusz Hugo pisał literackie studia prozą, nawet najstarszy brat, Abel, przysłał parę artykułów, ale Wiktor czasem sam zapełnił cały dziennik. W tym czasie poznał Lamartine'a i poezję jego z tego okresu noszą pewne znamie zawartego stosunku: melancholią i rezygnacją, żale i skargi ciche. Przypadało to też na epokę, która daje przebudzenie sercom młodym, a Wiktor Hugo znalazł w głębi swojego miłość już tem tkwiącą i zdającą się tylko czekać, aby zapalono jej płomień. Dawne, gorące przywiązanie chłopca do dziewczynki, będącej towarzyszką jego zabaw dziecińczych, było tem uczuciem, które przecież nie miało być dla serca poety tem, czem bywa zwykle: wiosennym kwiatkiem, słodkiej woni i krótkiego istnienia jednego poranku. Pierwsza miłość Wiktora Hugo pozostała miłością jego całego życia, które nie ukazuje żadnej innej skłonności serca godnej tego nazwiska. Była tam wprawdzie fantazja jego — fantazja smutna jak cień, który pada mrocząc na postać poety: miłość tak niedająca się pogodzić ze szlachetną i nigdy niezmaconą

czystością jego uczuć serdecznych, że mimowoli winę, która się potęgowała przez złączone z nią okoliczności, chce się w części znacznej przypisać stronie drugiej, przedstawiającej się wyobraźni, jak Circe, niebezpiecznego uroku.

W jedną z najsilniej wzruszających, a zarazem najposępniejszych książek swoich: „*Le Dernier jour d'un condamné*” wplótł poeta historią tej jedynej miłości swego życia, umieszczonej tam z tym celem zapewne, aby wykazać, jak życie, które społeczeństwo w imię praw swych nad jednością, chce jej wydierać, może mieścić w sobie, czarowne słodycze. Przedmiot tej miłości kielkujący już w dzieciństwie, a rozwijający się jak kwiat w pierwszej wiosnie lat młodzieńczych, Pepita poety, opisywana z taką miłością namiętną i razem pełną czei kłiwiej, opiewana tak gorąco, to owa Adela Foucher, córka towarzysza broni generała Hugo, z którą dwunastoletni chłopiec biegał po ogrodzie „*des Fenillantes*”, a czternastoletni wyrostek grywał dramata układane przez siebie. Do niej westchnęło też jego serce z pierwszym gorętszym uderzeniem w pierś młodzieńca, i dlatego może mógł on tak pracować skupiony w sobie, tak cały oddany poezji i nauce, niepociągany przez wir Paryża, porywającego innych, że miłość ta stała mu na straży, że ideał, którego potrzebuje młodość, był go tak blisko, w kole jego domowych stosunków. Pracował dzień i noc, tworzył, marzył, szukał w poetycznym uniesieniu dróg dla fantazji swej młodej, aby potem zaraz szczęśliwy, jeszcze z marzeń, z widzeń swych poetycznych zupełnie nie wytrzeźwiony, spotykać swe ukochane wcielenie piękna, ubóstwioną dziewczynę. Adela Foucher często przychodziła z matką swoją do jego matki albo generałowa Hugo szła z synem przepędzić z przyjaciółmi długie wieczory zimowe, i to starczyło parze zakochanej. Nie mówili ze sobą o miłości; Adela, urodzona w Hiszpanii, miała czarne, aksamitne oczy Andaluzyjanki i dość było jej spojrzenia, rzuconego zpod rzęs długich, aby młodzieniec czuł się zachwyconym. Ale i rodzice spostrzegli to; poznali, że ta mowa oczu jest mową miłości, a że nie można było myśleć o małżeństwie siedemnastoletniej dziewczyny i dwunastoletniego chłopca, stosunki więc za wspólną umową zostały zerwane, a raczej zawieszono chwilowo. Chciano zyskać na czasie, który przynosi zapomnienie, ale omyłono się. I on i ona kochali się głęboko, gorąco, a dla takiej miłości nie istnieje zapomnienie.

Ale dusza młodzieńca była dumna: nie mogąc i nie pragnąc zapomnieć, dawał ukochanej wolność zapomnienia. Nie widywali się ze sobą, nie pisywali do siebie, ale poezję, które tworzył i drukował, były przeznaczone dla niej. Pierwsza, po bolesnem ich rozłączeniu: „*Le premier soupir*” przemawiała ze smutną, ale wyniosłą rezygnacją:

„Sois heureuse, ô ma douce amie,
Salue en paix la vie, et jouis de tes beaux jours;
Sur le fleuve du temps mollement endormie,
Laisse les flots suivre leur cours.”

Był to przecież spokój sztuczny: oddalenie wzmagало uczucie, i miłość Wiktora nie gasła, lecz przeciwnie, stawała się namiętną, niespokojną, boleśnie rozdrażnioną. Wynajdywał tysiące pozorów najrozmaitszych, aby mógł ujrzeć ukochaną, choć zdaleka. Zapłonienie jej bladawej twarzy dawało mu znać, czy go spostrzegła. Wtedy krew gotowała mu się w żyłach, serce rozpierało piersi, i biegł przed siebie, jak szalony wzdłuż ulic, na których roztrzącał przechodniów! Wybiegał za rogatki Paryża, w pole. Potrzeba mu było tego ruchu, aby uspokoił krew kipiącą. Ale mógł nie tracić nadziei, bo nie tracił wza-

jemości. Spojrzenie czarnych oczu jego uwielbionej Pepity, mówiło mu: kocham zawsze...

Przecież to właśnie czyniło go nieraz tem silniej rozdrażnionym; ogarniały go myśli posępne, dające mu wizje czarne i ponuro srogie. Wtedy to, w 1821 roku, rozpoczął pisać „*Hana Islandyi*”, który pił tylko słoną wodę morską i krew, używając w miejsce kielicha, — czaszki syna. Czy nie było w tem coś z bolesnego wyrzutu, czynionego ojcu, który nie znalazł się teraz przy jego boku z pomocą, gdy pod jego czaszką mózg gotował się warem kipiącym? Książka ujrzała światło dzienne dopiero w 1823 r., ale została poczętą w myśli młodego autora i była pisana w tym peryodzie pierwszych namiętnych burz jego serca. Jedną tylko istotą, jego Pepitą, jego najdroższą, miała ją zrozumieć i pod przerażającą fabułą powieści, był ukryty jakgdyby list miłosny: — „*Un billet doux dans un gouffre*”, jak sam Hugo wyrażał się o niej potem: „*Les pages sombres pour les géoliers, les pages d'amour pour Elle!*”

Nagle spadł na niego grom straszny i niespodziewany: śmierć matki! Zazębła się w letni ale chłodny wieczór; zapalenie płuc powtórzyło się silniejsze, niż było kiedyś i próżno już teraz synowie przepędzali bezsenne noce przy jej łóżku. Matka ta, kochana najtkliwiej przez najlepszych synów, umarła 19 Czerwca 1821 r. Syn najstarszy, wezwany przez braci, przybył natychmiast, również z głęboką żałobą w duszy, i trzech młodzieńcy odprowadzili zwłoki do kościoła św. Sulpicyusza, a potem na cmentarz Mont-Parnasse. Wiktor, wróciwszy do pustego domu, doznał wrażenia niedoświadczonego nigdy, ani przedtem, ani potem. Zdawało mu się, że nie potrafi żyć sierotą; że Paryż stał się teraz dla niego jakąś krainą dziką, najeżoną kolcami przeszkód, których przebrnąć nie zdoła. Cierpiał potem nieraz i cierpiał okrutnie, ale nigdy w taki sposób. Po wylewie łez gorących, boleść jego wydała z głębi serca żalostną elegię o dobru straconem dla niego już na zawsze — wiersz o miłości macierzyńskiej:

„Amour que nul n'oublie,
Pain merveilleux qu'un Dieu partage et multiplie!
Table toujours servi au paternel foyer:
Chacun en a sa part et tous l'on tout entier...”

Wiktor Hugo w późniejszych wspomnieniach swoich nazywał tę straconą matkę dwukrotnie rodzicielką swoją. Raz urodziła go z ciała, a drugi raz z ducha: „*en lui inspirant le culte du beau et le respect du devoir*.”

Gdy mrok wieczorny zapadł, biedny młodzieniec nie mógł wytrzymać w domu i powrócił na cmentarz; ale wrota jego już były zamknięte i błąkał się długo wokoło murów, aż naraz zapragnął nazbyt gorąco ujrzeć Adeli, aby myślał o przeszkodach jakichkolwiek. Szedł prosto do ukochanej, aż nagle uderzyły go dzwonki wesołej muzyki, dochodzące z okien. Był to dzień imienin Adeli: ukryto przed nią nieszczęście i tańczyła właśnie w wienku kwiatów na głowie.

On przecież zrozumiał prawdę i nazajutrz zapukał do domu jej rodziców. Przyjęto go, zostawiwszy z ukochaną samnasam. Rzucili się sobie w objęcia i tkliwa dziewczyna powiedziała mu płacząc, że należy do niego nazawsze.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Pogawędka. — Kartka z pamiętników poety, II, (dalszy ciąg). — Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dalszy ciąg), przez Quis'a. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Zima w Fu Czeu (w Chinach), szkic geograficzny, (dalszy ciąg), przez panią L. P. — Z życia Wiktora Hugo, (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje. Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — Przegląd mód. — Wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Іюля 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 31.

PRZEGLĄD MÓD.

Magazyn pana Herzego. — Modele Worth'a bajecznych cen. — Suknia biała. — Okrycie z pereł ołowianych. — Suknia korkowa i inne u pani Meizner. — Fabryka kwiatów „Elizy“. — Okrycia i modele sukien w magazynie pani Dubrawskiej. — Batysty szwajcarskie. — Skromne tualety na wyseigach i wystawie. — Pracownia panien Paryzet.

Wszystko cośmy widzieli najładniejszego w tegorocznych materiałach modnych u pana Makowskiego — wszystko to przerobione według fasonów mody oglądaliśmy u pana Herzego; rzeczy to już wielkiego wykwinu, przystępne dla możnych osób, na przykład dwa modele Worth'a: Jeden na tle jasno-cielistym (saumon) materii „faille“, miał rzucane aksamitem bukiety brązowe z cieniowanymi niby tuszem liśćmi, suknia była gładka, marszczona spódnica cała, zawsze jednak ułożona na fałszywej spodniej, niebieskiej jedwabnej, z tyłu krótkie małe dwie trójkątne chustki stanowiły cały przystroj, boki miały wstawioną ażurową gazę złotoną, całą zaszytą perełkami ołowianymi „plomb“, — dziś będącemi największą nowością. Stanik, nie z przodu, lecz z boku na kryte haftki zapięty, miał przód z jednego kawałka puszczonego luźno, bez zaszewek i wcale nie przylegający do podszewki, — od strony gdzie się kończył, wychodziła bluzka z owej gazy złotej,

tej, perełkami haftowanej. Kołnierzyk „colier de chien“ z perełek zakończyła kokardka niebieska.

Drugi model był jeszcze bogatszy, jeszcze wspanialszy i już tylko na wyjątkowe okoliczności, dla wyjątkowo bogatych kobiet służyć mogący. Na spodzie z materii „ottoman“, mocno zielonego koloru rzerzuchy, spadała z przodu tiunika z jedwabnego tiulu koloru lilia, naszytego tak gęsto ślicznym dżetem, że podnieść suknię było trudno — tyl sukni pomieszany z aksamitem zielono-oliwkowego koloru i dżetem.

tem. Stanik odpowiedni — suknia była przybrana z boku gorsu i na spódnicy dwoma ogromnemi — można powiedzieć — bukietami, ze wstążek atlasowych w gorących kolorach koralu, blade-cielistego, oliwkowego, zielonego i białego. Opisać te bukiety trudno, ale było to coś bardzo oryginalnego i efektownego jak rzadko: wstążka gruba atlasowa, 6 centymetrów szeroka, podszyta materią i składana na dwoje, tworzyła pukle, które zdawały się poczkami równej wielkości. Ta w ogóle bardzo oryginalna, bardzo strojna, a zarazem bardzo ciężka

do noszenia suknia, była jeszcze cięższą, gdy się ją zważy na pieniądze — kosztowała bowiem 700 rubli. Model to od Worth'a i jako ilustracja stosunków tualetowych takich pracowni, do których zaglądają tylko najbogatsze panie zbytkującego świata, a których nie ma nawet Londyn, a tylko Paryż, który jest kosmopolityczną stolicą zbytków, używania i... zepsucia, — dodamy tu nowinę świeżo zamieszczoną w korespondencyach z Paryża, a to: że tamtejsza Izba krawiecka, nie mając innego sposobu ściągnięcia ogromnych długów, ogłosiła, mieszcząc Worth'a na czele, listę dłużników, wymieniając z imienia i nazwiska niewypłatne dłużniczki. Hałas się stał ogromny, posypały się odpowiedzi, zaprzeczenia, czy to przecież poskutkowało jako przestroga — czas pokaże.

Z rzeczy na miejscu już u p. Herzego wykonanych, oprócz wielu bardzo pięknych, zwró-



Nr 1. Kostium dziecka.

Nr 2.

Tualety u wód.

Nr 3.

ciła uwagę naszą suknią białą, koloru kości słoniowej z ażurowej wełny w pasy, materyał tak ślicznie się drapujący, jak „crêpe-chine“ jedwabne. Ten sam materyał, nie zbyt nawet drogi, widzieliśmy u pana Makowskiego, na Placu Teatralnym. Suknia bardzo prostej formy o gładkim staniku, z dwoma bawetami na jedwabnej fałszywej spódnicy, miała bardzo su-to drapującą się tiunikę, czy też spódnicę dłu-gą, podpiętą z boku, a całą ubraną lekkimi wełnianymi koronkami. Była śliczna — w ce-nie 120 rubli. Kilka fantastycznych kretono-wych, które dziś w lepszym gatunku zowią krepą bawełnianą, były zawsze z dwóch kolo-rów: pasowego i w kratkę, lub granatowego i w kratkę, czy paski — oryginalne te fasoni-ki, z dużemi falbankami z przodu, z kaftani-kiem otwartym na długiej wywiniętej bluzce, podwiązanej szarfą, były tylko dla młodych pa-nienek, bez wstążek, haftów, koronek, ale za to gust i rodzaj fasonu zupełnie odrębny. Ogól-nie przyjętym fasonem na płaszcze letnie są paletoty bardzo długie, suto zmarszczone w ty-le, z przodami luźnymi. U pana Herzego wi-dzieliśmy jeden, przypominający zupełnie ranny szlafroczek w pasy, z szerokiemi rękawkami, w kwadrat ściętymi; inny znowu miał rękawy w górze okrągłe, szerokie, bufiaste, takie jak widziemy na starych obrazach u balowych su-kien; u ręki zwężały się zupełnie, zapięte z bo-ku ściśle na trzy guziczki. Prześlizne było okrycie krótkie czarne, z materyi „faillé“, całe zaszyte, czyli naszyte owemi modnemi perełka-mi ołowianemi „plomb“, mieszanemi nie wiele z dżetem — to połączenie robi efekt stali, w kolorze piór gołębih. Pokazywano nam także materyał korkami naszyty — owe korki wycięte w godła sportu, są tak cienkie i tak ładnie malowane, że wyglądają, jakby były ma-lowane na materyale tuszem, w kolorze korka.

Całą taką suknię, zwaną „korkową“, wi-dzieliśmy u pani Meisner (Krakowskie-Przed-mieście Nr 83), gdzie zawsze przy niskich ce-nach, bardzo gustowne widziemy odrobienie. Była tam suknia koloru różowego koralu, po-kryta cienkim białym muslinem haftowanym w rzucik, który staje się znowu przy modzie ha-ftów modnym — suknia była przybrana falban-kami, wstążkami i stanowiła śliczną całość — do tego kapotka na atłasie koralowym, pokryta muslinem, przybrana bukietem różowych dzwo-neczków z fabryki „Eliza“ (Nowy-Swiat Nr 46); fabryka ta posiada wybór kwiatów, może naj-większy w Warszawie — trudni się wysyłką do Cesarstwa, a że kwiaty p. Elizy są piękne, to wiadomo od lat wielu; nie mogąc sama na-starczyć zapotrzebowaniom, sprowadziła z Pa-ryża kolorystkę, wyłącznie tylko do farbowania kwiatów, bardzo małym kontentując się pro-centem od swych wyrobów.

W Paryżu każdy magazyn strojów, ma swo-ją odrębność fasonów i sobie właściwą specy-alność — u nas tak nie było dawniej, bo War-szawa była na to miastem za małym, od pe-wnego jednak czasu, zaczyna się to powoli wy-rabiać; jedną z takich firm jest firma pani Du-browskiej (Niecała Nr 8), której specjalnością są głównie paryżskie okrycia i modele strojnych sukien, oraz kostiumów. Otóż okrycia letnie, płaszcze z materyału koronkowego wełnianego, jakie nam pokazywano, wszystkie były na ma-teryach mieniących, z dużemi aksamitnemi szarfami w tyle, z szerokiemi rękawami i z kap-turkami, co dla osób szczupłych, a głównie wy-sokich, bardzo jest korzystne, nie radziemy je-dnak niskim, nosić okrycia tego fasonu. Bar-dzo ładne były tam, okazywane nam zarzutki w rodzaju pelerynek, całe zaszyte dżetem i pe-rełkami ołowianymi — są to rzeczy zbytko-wne, które nie tyle okrywają, ile się kładą tylko dla tego, aby coś zarzucić na siebie. Naj-piękniejszym przedmiotem widzianym w maga-zynie pani Dubrowskiej, była suknia czarna koronkowa na czarnym atłasie — przybrana nie widzianym dotąd haftem z perełek tęczy-owych, wrabianych w gazę czarną, grubą, jakby kordonkową — dwa boki, na 15 centimetrów szerokie, były z tej gazy, jako też całe ręką-

wy — coś nakształt kamizelki i klin na ple-cach; także sznury z pereł służyły do prze-wiązania stanika. Stanik po za perełkami, ca-ły plisowany z koronki, tylny puff suto i boga-to upięty, kończył się u samej góry koronką łokciową w zęby — cała ta suknia była bar-dzo dobrego gustu. Inny kostium z fularu

W ogóle u sukien fantazyjnych szlaki pasowa-ne do sukni są bardzo noszone. Pokazywano nam batyst szwajcarski w paski, kiprowany; materyał tak dziwnie przerabiany, że zupełnie dawał pozór wełny — bardzo ładny był biały kredowy, ze szlakiem granatowym, lub grana-towy ze szlakiem różno-kolorowym — batysty

ubranie i taki też zwrót zapanował w ogóle u naszych wód i miejsc letniego pobytu.

Gdzież się więc pokażą owe śliczne suknie, które widziemy w pracowniach, na przykład: u panien Parizet (Nowy-Swiat Nr 39), właśnie widzieliśmy bardzo pracowicie odrobionych kil-ka sukien: Jedna była niebieska satinetowa,

dnego boku w wytworne fałdy — z jednego boku, z pod trzech fałd, wychodziła wybornie dobrana wełniana koronka, cztery razy z pod czterech fałd; zakietka bardzo zręcznego kroju, przybrana w takiż sposób koronką i złotemi guzikami, zastosowanemi do złotem haftowane-go kołnierza i mankietów, w pracowni panny

w układzie, a co najważniejsza nie wygórowa-ne ceny.

Z nowości paryżskich dowiadujemy się o no-wej formie zarzutki, z aksamitu wibitnego kolo-loru, wyciętego w trzy zęby w tyle, formujące niby kołnierz, garnirowany suto koronką, wy-szywaną dżetem — przód prosty, w dwie dłu-gie poły, zagarniowany odpowiednio. Wszel-kie owe strojne zarzutki z pereł i koronek, są tylko wytworem zbytku i jak rzadko się te rzeczy noszą dowodem, że na Wystawie i wy-scigach, w łóżach nawet na Placu Ujazdow-skim, gdzie się zbierał cały nasz świat elegan-cki, nie widzieliśmy ani jednej z owych para-dnych modeli, sprowadzonych przez panią Du-browską, lub pana Herzego — młode panny, a nawet mężatki, ubierają się w lecie do figu-ry, starsze zaś panie okrywają się nie tak strojnymi zarzutkami.

Najnowszy fason kapelusza dla młodych pa-nienek, noszony obecnie w Paryżu, zowie się „Mercury“, ma brzeg ze słomy — od główki idą zawinięte dwa uszka, przypominające skrzy-dła Merkurego — ubierają przeważnie szalikami z „etamine“ w guscie bizantyjskim.

W garniowaniach nowością jest ułożenie w drobne kontrafałdki, formujące różki z bia-łego „crêpe-lisse“ — widzieliśmy już takie w fabryce „Talia“ przy ulicy Długiej, gdzie wszelkie nowości w tym rodzaju przyswajają natychmiast.

Najmodniejsze woalki paryżskie, są naszyte na czarnym tiulu, czarnym dżetem — szlak głów-nie — jest to bardzo do twarzy i odpowiada doskonale zawsze modnym i dystyngowanym czarnym dżetowym kapeluszem.

L. C.

Opis rycin mód.

Kostium dziecka. Rycina Nr 1. Sukienka angielska z surowego batystu (écru), plisowana i ściągnięta na wstążkę pasową. Kokardka, szelki, kołnierzyk i mankietki pasowe, oraz pa-sowe ubranie kapelusika słomkowego. Pompo-ny u trzewiczek pasowe.

Tualeta u wód. Rycina Nr 2. Spódnica koronkowa „écru“. Tiunika marszczona i chu-steczka z różowego surah w rzut granatowy, stanik z granatowego gros-grain, kołnierzyk i przybranie aksamitne tegoż koloru. Kapelusz słomiany „écru“, ubrany różowo i granatowo.

Tualeta także u wód. Rycina Nr 3. Spó-dnica plisowana z bengaliny, koloru kości sło-niowej (ivoire). Tiunika „Marquise Rantzan“ z surah. Pompadour, tło koloru kości słoni-owej, rzut koloru brzoskwińskiego. Rękawy z bengaliny. Kapelusz przybrany gazą koloru „ivoire“ i złotemi różami. Parasolka brzoskwi-niowego koloru, koronka kości słoniowej.

Suknia z zefiru w deseń. Rycina Nr 4. Su-knia ta zrobiona z zefiru w deseń (różnobar-wny rzucik na żółtawym tle) z odpowiednim szlakiem, składa się ze spódnicy i wetement, spódnica z podszewki, oszyta 10 centimetrów szeroką falbanką, a pokryta 400 centimetrów szerokim, a 85 centimetrów wysokim wolantem, który na prawym boku ułożony, podług ryciny, w płaskie fałdy, u dołu, oraz na wierzchu pier-wszej i ostatniej fałdy, przybrany 6 centime-trów szeroką, ciemno-pasową aksamitną wstąż-ką, u góry zmarszczony i przyszyty do spódni-cy. Wetement z przodu i na plecach fałdowa-ne, na ramionach 12 centimetrów szeroko po-kryte marszczonym zefirem, a z prawego boku ułożone w fałdy skierowane ku górze, z lewego formuje róg, sięgający aż do dołu sukni. Na tylną część wetement trzeba ukrajać 170 cen-timetrów szeroki, a 108 centimetrów długi ka-walek, zmarszczyc go u góry, przyszyć do kró-tkich pleców wetement, a prawy brzeg ułożyć w dwie głębokie fałdy. Prawy brzeg tyłu we-tement, oraz lewy i dolny przodu, objęte aksa-



Nr4. Suknia z zefiru w deseń.

Nr 5. Suknia z wełnianej grenadiny i fularu.

Nr 6. Suknia z mieniającej jedwabnity.

Nr 7. Suknia z batystu.

Nr 8. Suknia z etaminy.

Nr 9. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

brązowego w kółeczka białe, był cały z du-żych falban, z bokiem aksamitnym i bardzo wypracowanym stanikiem o dwóch kołnierzy-kach aksamitnych. Mnóstwo materyałów weł-nianych na magazyn ten na składzie, między innymi śliczny był ażurowy koloru mchu, na koralowej bladej materyi; inny znow miał gwia-zdzy ze szneli, rzucane z rzadka po całej sukni.

takie są nowością. Przysyła je Szwajcarya, która celuje w tych rodzajach wyrobów.

Wiemy, że na wyścigach tegorocznych i wy-stawie, widać z powodu trwającego zimna i wiatru, a może biedy ogólnej i oszczędności, konieczności dziś potrzebnej, tualety były bardzo skromne — największe elegantki były gus-to-wnie, ładnie, ale nie strojnie, nie wytwornie

przybrana granatowym aksamitem — stanik w rodzaju szwajcarskiego gorsecika, miał koł-nierz wykładany i z przodu i z tyłu szelki ak-samitne — cała sukienka była nader starannie odrobiona. Druga z klarownej wełny, niby kanwy, a jednak nie kanwy, który widzieliśmy u pana Makowskiego (Plac Teatralny), — była cała układana w długie draperye z tyłu i z je-

Bobrowskiej (Wierzbowa Nr 2). Czarna grenadi-nową na atłasie zielonym, bogato koronkami garnirowaną, z dwóch boków podpiętą dżetami, z pod których spadała koronka ukazując atłas; stanik miał kołnierzyk dżetowy i cały dżeto-wemi figurami przybrany. Szczepce polecamy czytelnikom Bluszczu pracownię panien Pa-ryzet, jako posiadającą dobry krój, dystyngują

mitną wstążką; aksamitny kołnierzyk i mankiety, pasek zakończony dużą kokardą, oraz mniejsze kokardki z wąskiej aksamitnej i atłasowej wstążki, dopełniają przybrania sukni.

Suknia z wełnianej grenadiny i fularu. Rycina Nr 5. Spódnica z pasowej podszewki, oszyta dwoma 14 centymetrów szerokimi falbankami z tegoż materiału i pokryta cała od góry do dołu 286 centymetrów szerokim wolantem, zeszytym z 10 centymetrów szerokiej granatowej koronki „lama“ i takiejże szerokości pasów granatowej grenadiny, zmarszczonym u góry i przyszytym do spódnicy. Przód spódnicy przybrany upięciem z fularu w deseń, a tył pół-tiunką z grenadiny. Stanik grenadinowy z aksamitnym kołnierzykiem, napiersnikiem z koronki i kamizelką z fularu.

Suknia z mieniacej jedwabnej materyi. Rycina Nr 6. Spódnica tej sukni oszyta jedną u dołu 5 centymetrów szeroką uplisowaną falbanką i sześcioma 15 centymetrów szerokimi, wyciętymi w zęby, marszczonymi falbankami; każda z nich przykryta 10 centymetrów szeroką zmarszczoną jedwabną koronką. Przód tiunika ma 145 centymetrów szerokości, a 114 centymetrów długości, z prawej strony, w odstępnie 47 centymetrów, z lewej w odstępnie 95 centymetrów od dolnego brzegu, zaokrąglona do góry, aż do 65 centymetrów szerokości, a zaokrąglone brzegi, oraz prawy brzeg rogu, ułożone w fałdy skierowane ku górze. Tył tiunika 155 centymetrów długi, a 108 centymetrów szeroki, na bokach ufałdowany, u góry i u dołu zmarszczony, podwinięty i przyszyty do spódnicy. Spiczasto ścięty stanik, z przodu fałdowany, przybrany koronką i pliską z ciemno-pasowego aksamitu.

Suknia z batystu. Rycina Nr 7. Spódnica z gładkiego żółtego batystu, oszyta 5 centymetrów szeroką falbanką i pokryta trzema marszczonymi wolantami z batystu w deseń, z których dolny ma z przodu 39, z tyłu 73 centymetrów, drugi 30, a trzeci 22 centymetrów szerokości, a każdy oszyty 9 centymetrów szeroką białą koronką. Staniczek z drobno uplisowaną kamizelką z pasowego fularu; 55 centymetrów szeroka, a 134 centymetrów długa szarfa z deseniowego batystu, ufałdowana podług ryciny, której końce przypinają się z tyłu pod karczkiem stanika, dopełnia przybrania sukni.

Suknia z etaminy. Rycina Nr 8. Suknia ta zrobiona z granatowej etaminy, a przybrana koronką „lama“, oraz aksamitną wstążką tegoż koloru.

Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Rycina Nr 9. Sukienka zrobiona z różowej bawełnianej satiny, a przybrana białą, 10 centymetrów szeroką koronką, oraz różową atłasową wstążką, 3 i 6 centymetrów szeroką.

Pranie koronek.

Przy praniu koronek chodzi głównie o to, żeby zachować formę i deseń koronki, oraz nie porozdzierać delikatnej tkaniny. Grubsze, szczególnie szerokie koronki, kładą się na parę godzin w lekki roztwór z boraksu, cztery łyty na sto łokci koronki, 40% Reaumura mający, przyczem odchodzi większa część brudu i kurzu, a następnie piorą się w cieplej wodzie rozgotowanej z mydłem. Większe kawały szerokich koronek zwija się starannie na sztywnej tekturze w płaski motek i przefastrygowywa zlekką, drobniejszą zaś owija się na porcelanowy lub drewniany cylinder, czyli wałek, cały dziurkowany jak sito, końce przymocowują się kilkoma ścięgami i pierze się rozgotowanym białym mydłem, miękką szczotką, lub pędzelkiem, gdy koronki są bardzo delikatne. Dobrze jest przedtem włożyć ten cylinder z koronkami na kilka godzin w roztwór boraksu, lub w braku tegoż, w lżejszy jeszcze roztwór

sody. Małe bardzo kawałki koronek zeszywają się z lekka razem do prania, lub kładą w muslinowy woreczek i w nim piorą. Uprawnym i wypłókanym w dwóch wodach koronkom nadaje się apretura, która zasadza się na tem, żeby nadać koronkom pewną sztywność i kolor.

Nadawać sztywność koronkom najlepiej jest żelatyną, którą trzeba mniej lub więcej rozcieńczyć, stosownie do tego, czy koronki mają być sztywniejsze lub miększe, zawsze łyt wystarczy na sto łokci koronek. Dla nadania koronkom niebieskawego koloru, trzeba dodać do żelatyny, lub do ostatniej wody, jeżeli nie mają być sztywne, trochę ultramaryny rozrobionej z sodą i gliceryną, a następnie rozrzedzonej za pomocą cieplej wody.

Obecnie jednakże najmodniejsze są koronki kremowego koloru, dla nadania więc go, trzeba wygotować w wodzie trochę medykamentu zwanego „terra japonica“, precedzić odwar przez płótno i dolać potrzebną ilość do żelatyny, lub do ostatniej wody. Można nadać żółtość za pomocą lekko rozmoczonego szafranu, lub jeżeli mają być koloru lipowego, zielonawo-żółtego, za pomocą silnego odwaru rumianku — szczególnie koronkowe lub siatkowe firanki, najładniej się kolorują rumiankiem. Jeżeli koronki mają być miękkie i lepkie, jak prawdziwe, co teraz jest bardzo modne, trzeba dodać do ostatniej wody trochę gliceryny.

Po usztywnieniu i nadaniu koloru, ordynarniejsze koronki przeciągają się starannie i potem prasują, a będą wtedy bardzo sztywne, kosztowniejsze zaś rozkładają się, na urządzonej na ten cel poduszce, rozkładają się i prostują zapomocą szczoteczki lub palcy, jeżeli są bardzo delikatne, a potem w każde oczko lub pikot koronki wpina się śpilkę i zostawia je tak do wyschnięcia. W pralniach koronek poduszki te są tak urządzone, aby na jednej i drugiej stronie można było rozpinać koronki, a pod spodem umieszczony jest grzejący aparat; gdy więc na jednej stronie poduszki rozpięte koronki schną w cieple, na drugiej tymczasem przeciąga się i rozpina drugą partję, aby je następnie odwrócić do ciepła, a już uschnięte zdjąć. Koronki ordynarniejsze, jeżeli nie mają być prasowane, można do suszenia nawinąć na bębnek, nowy z łytką od sita lub przetaka. W taki sposób piorą się koronki bawełniane, niciane, a nawet jedwabne, te ostatnie jednak można prać w benzynie także, zamiast w mydle, dalej stosując się do podanego przepisu, tylko że niciane i jedwabne, jako kosztowniejsze, wymagają większej staranności.

Przy chemicznym praniu jedwabnych koronek, zeszywają się te ostatnie w bardzo rzadki muslinowy woreczek i pozostawiają na jakiś czas w benzynie, następnie wyciskają, zwijają, sztywnią i suszą, według opisanego wyżej sposobu.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Siarkowanie owoców na konserwę.

Ze zdziwieniem zapewne czytelniczkom naszym zdarza się widzieć owoce konserwowane w lekkim syropie, a nawet w wodzie (na przykład w witrynach cukierni Janowskiego) zachowujące kształt i barwę zupełną, co w domowym przygotowaniu trudno jest skutecznie. Otóż pragnąc aby czytelniczkom Bluszczu, nie obcem nie zostało — odkrywam przed niemi ów sekretny sposób, zastosowywany w takich razach.

Należy mieć skrzynkę blaszaną, podłużną, mniej więcej jeden metr długości, a 80 centymetrów szerokości, wysokości zaś 20 centymetrów mającą, o dwóch deskach czyli kondygnacjach dziurkowatych od spodu i wewnątrz,

wierzchnia zaś deska pokrywająca skrzynkę, powinna mieć jeden otwór w środku, średnicy 10 centymetrów, w który wprawić rurę pół metra długą — jak do samowara używaną. Nasycać na obie kondygnacje wewnętrzne owocem, ile się zmieści, zamknąć skrzynkę — na blaszaną tacę postawioną pod skrzynką, posypać właściwą ilość, na przykład 8 łytów sproszkowanej siarki, zapalić ją, zgasić i pozwolić, aby dym z siarki przechodził przez otwory do skrzynki, siarkując owoce, a czad, czyli dym, po przejściu owoców, wychodzi powyżej umieszczonej rurą. Jeżeli siarka przestaje dymić, zapalić ją znowu — owoce przesunąć, aby wszędzie równy dym przechodził. Gdy owoc straci już swą surowość, wyjąć ze skrzynki, włożyć w duże kamienne miski lub garnki i moczyć w świeżej źródlanej wodzie, zmieniając ją kilka razy na dzień przez trzy dni. Wtedy osączone na przetakach, układać w kompoty do pełna, zalać zupełnie lekkim syropem — biorąc funt cukru na kwartę wody; obwiązać pęcherzem i gotować ustawione w kociołku, przełożone sianem, od zagotowania minut 15 do 20, stosownie do miękkości i soczystości owocu. W zimie biorąc do użytku, zlać ów lekki syrop, używając go do ostatnich wódek — owoce, mieszając kilka gatunków, ułożyć na salaterce, polać gęstym syropem, ubrać skórkami pomarańczowymi krajanami w liście, na około brzegu wyłożyć salaterkę liśćmi świeżymi zielonemi — winnemi lub innemi i podać do stołu. Syrop z kompoty można użyć zamiast wody do syropu — biorąc jednak z białych owoców, aby nie był zabarwiony — chociaż w ogóle przy siarkowanych owocach to nie miewa miejsca. Tym sposobem robione zachowują, jak powiedziałam, barwę i kształt, ale nie mają świeżości i aromatu, czyli właściwego smaku.

Francuzki sposób prania satinet, zefirów i kretonów.

Rozgotować w kwarcie wody zeszkobanego mydła zwyczajnego białego, biorąc 4 łyty na 3 garnce wody miękkiej, zagrzzać ją do 28 stopni Reaumura, czyli do takiej temperatury, aby swobodnie można w niej ręce trzymać. Wykurzoną miotełką suknię, sprutą z tiuniki i wszelkich upięć, nie dających się z łatwością prasować, maczać w rozcieńczonym wodą mydle, na małej balijce, przez minut 5 do 10, ciągle zanurzając i wyjmując, nie trąc wcale przedmiotu. Następnie wypłókać w czystej wodzie zimnej, która zabierze w siebie resztę pozostałego w tkaninie mydła, wyciskając jak najstarniej i wysuszyć w cieniu w przewiewnym miejscu. Dla nadania nieco apretury, po wypłókanu zanurzyć w garniec zimnej wody czystej, w której rozpuścić poprzednio łyt żelatyny białej — wycisnąć, a gdy przeschnie do połowy, prasować z lewej strony. Kubełek lub konewka wody zawierająca zwykle 3 garnce i 3 do 4 łytów mydła, nie więcej, wystarczają na jedną suknię.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa rumianna z fraczkiemi kluskami.
2. Paszteciki w konchach.
3. Pieczeń wołowa z rożną, lub rozboem z buraczkami.
4. Fasolka zielona po angielsku z młodem masłem.
4. Strudel z wiśniami.